

Pojęcie „czystości” języka i „słowa zbyteczne” – przypadek polski XVIII–XX wieku

„Żadna to nowość, że język ma historię” – takim zdaniem Peter Burke rozpoczął książkę o społecznej historii języka¹. Autorzy tego tomu, poświęconego badaniu historii pojęć społeczno-politycznych, skazani są również na wychodzenie od stwierdzeń banalnych, których konsekwencje nie zawsze są już takie oczywiste. Zatem najpierw banał: język ma swoją historię, co oznacza, że od kiedy ją ma, zmienia się. Jednym zaś z elementów tej zmiany jest pojawianie się nowych słów, zapożyczanie wyrazów z innych języków czy zanikanie słów wcześniej używanych. Neologizmy, zapożyczenia i archaizmy funkcjonują relatywnie, zawsze w odniesieniu do chwili, w której dane słowa są (jeszcze) nowością lub też są (już) przestarzałe. Nieoczywistą zgoła konsekwencją tego faktu jest złożona i obustronna relacja między zmianami leksykalnymi a zmianą społeczną: gdy coś zmienia się w życiu społecznym, może zmienić się też język, ale jednocześnie sama zmiana językowa (pojęciowa) wpływa na ludzkie postawy wobec rzeczywistości i wobec samego języka; zaś zmiany postaw ludzi zmieniają rzeczywistość. I tak *da capo al fine*.

Tu skupiam się na tym, jak zmieniało się podejście do zapożyczeń z języków obcych i neologizmów w polszczyźnie od XVIII wieku do czasów niedawnych. Same dzieje zjawiska zapożyczeń językowych od lat są przedmiotem zainteresowania językoznawców. W klasycznej *Historii języka polskiego* Zenona Klemensiewicza w każdej części na temat poszczególnych okresów historii polszczyzny znajduje się wykaz słów nowych, które właśnie wtedy się pojawiały². Ale sama historia leksykalna języka polskiego nie jest jeszcze historią pojęć społeczno-politycznych: w samym fakcie, że mówimy

¹ „It is hardly news that language has history”, zob. P. Burke, *Introduction*, w: *The Social History of Language*, red. P. Burke, R. Porter (Cambridge Studies in Oral and Literate Culture 12), Cambridge 1983, s. 1.

² Z. Klemensiewicz, *Historia języka polskiego*, wyd. 8, Warszawa 2002.

dziś „komputer”, „dyrektor” czy „inwestycja” (i że kiedyś tych słów w polszczyźnie nie było), nie ma jeszcze nic politycznego. Społeczno-polityczny wymiar ma jednak zarówno sam kontekst pojawiania się nowych słów w konkretnym czasie, jak i znaczenia społeczne nadawane tym zmianom językowym. Czy raczej – mówiąc precyzyjniej i po Koselleckowsku – w pewnym momencie dziejów język i pojawiające się w nim nowe słowa stały się kwestią polityczną. W „czasie siodła” nastąpiła „ideologizacja” i „polityzacja” pojęć także w odniesieniu do pojęć na temat samego języka. Sam język stał się pojęciem społeczno-politycznym. Lub jeszcze inaczej: decyzjom o używanych w polszczyźnie zapożyczonych słowach od pewnego czasu towarzyszy waloryzacja tych decyzji z perspektywy ideologicznych wizji języka narodowego. A ta ideologiczna ocena zmian w języku sama w sobie też się zmienia, a więc ma swoją historię.

Muszę dodać tu kolejny banał: za samym pojęciem „zapożyczenia” lub „wyrazu obcego” lub „obcojęzycznego” również stoi ideologiczne założenie, że słowa w języku dzielą się na „rodzime” i „obce”. O tym, że taki podział jest do pewnego stopnia konwencjonalny i czasowo względny, zdaje się świadczyć obserwacja poczyniona przez Władysława Kopalińskiego we wstępie do jednego z jego wielu słowników: „Większość z nich [słów w dawnych słownikach wyrazów obcych – MJ], zapożyczona i przyswojona od tak dawna, odznacza się nadto brzmieniem tak swojskim, że samo uświadomienie sobie obcości ich rodowodu wymaga sporej orientacji lingwistycznej. Trudno chyba znaleźć w Polsce człowieka, który by, nie wiedząc co to poczta, łubin, makaron, urlop, pauza, hak, śrut, tapczan, szpital, kamizelka, lampa, kalafior, kłamka, puder, befsztyk czy kompot, wiedział zarazem, że są to wyrazy pochodzenia obcego i dlatego szukał ich w słowniku wyrazów obcych”³. Oczywiście w udokumentowanej źródłowo historii polszczyzny można często wskazać moment pojawiania się słów (czy konstrukcji gramatycznych lub składniowych) z innych systemów językowych oraz okoliczności i drogi tych zapożyczeń do języka polskiego. Jednak uznawanie, że są to elementy obce jakiemuś językowi (mimo iż w nim z powodzeniem funkcjonują), ujawnia ideologiczne rozumienie tego, czym jest i czym powinien być język.

Wyznaczam sobie w tym tekście trzy cele. Po pierwsze – jako się rzekło wcześniej – jest to siłą rzeczy syntetyczne przedstawienie podejścia do zapożyczeń leksykalnych w polszczyźnie od ok. połowy XVIII stulecia aż do końca wieku XX: historia „słów zbytanych” czy „obcosłów”, jak nazywali je niektórzy puryści. Po drugie, chcę wyjaśnić, jakie sposoby ideologicznego rozumienia języka narodowego oraz – często zawartego *implicite* – pojęcia

³ W. Kopaliński, *Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych*, wyd. 4, Warszawa 1968, s. 9.

narodu stały za prezentowanym podejściem do zapożyczeń. Po trzecie wreszcie, pragnę zwrócić uwagę na to, że interpretacja reakcji na nowe słowa może być narzędziem badania rzeczy zazwyczaj trudno uchwytnej, jaką jest przełożenie zmian rzeczywistości społeczno-politycznej na język oraz *timing* tego przełożenia. Pierwszy cel metodologicznie najbliższy jest klasycznej historii języka, z której dorobku obficie tu czerpię. Drugi cel korzysta z instrumentarium autorów *Geschichtliche Grundbegriffe* i stanowić mógłby wprawkę do haseł o pojęciu „czystości” języka lub – szerzej – o samym języku jako pojęciu społeczno-politycznym. Trzeci z kolei mieści się gdzieś na pograniczu metodologii historii społecznej i metodologii historii pojęć, traktując językowych purystów jako seismograf zmiany społecznej – głosy osób, które zauważają, że zmienia się język, ale z reguły nie potrafią zrozumieć, że jakoś zmieniło się też społeczeństwo, które go używa.

Choć każdy z tych trzech zamiarów lokuje się na nieco innej płaszczyźnie, to nie są one tu traktowane rozłącznie, co więcej – uzupełniają się. Językoznawcy polscy przynajmniej od czasów Jana Baudouina de Courtenay rozróżniają historię wewnętrzną i historię zewnętrzną języka, przy czym ta pierwsza oznacza zmiany morfologiczne samego systemu językowego, a ta druga mówi – jak twierdzi ten polski językoznawca – „o losach danego zbiorowiska ludzkiego w ten lub ów sposób ujęzykowanego”. Jest to więc właściwie historia „danego plemienia i narodu, rozpatrywanego ze strony wspólności myślenia językowego”⁴. *De facto* jest to historia kontekstu społeczno-politycznego, w jakim dany język funkcjonuje. Jednocześnie należy zauważyć, że badanie losów pojęć społeczno-politycznych *à la* Reinhart Koselleck również wymaga przynajmniej jako takiej orientacji w dziejach samego języka.

Zróznicowana i siłą rzeczy selektywna jest baza źródłowa, na której opieram swoje analizy. Jej rdzeń stanowią bowiem prace leżące zazwyczaj wyłącznie w orbicie zainteresowania językoznawców czy historyków języka, a więc traktaty i artykuły poruszające kwestię obecności obcych słów w polszczyźnie, leksykony takich wyrazów sporządzane przez dawnych purystów, a czasem także dzieła literackie, które – zwłaszcza w oświeceniu – były również formą wyrażania opinii w sprawach społecznych czy naukowych. Im bliżej wieku XX, tym więcej jest też prac uniwersyteckich profesorów i autorów poradników lub słowników. Od językoznawców, którzy czytali i często już cytowali użyte tu dzieła, różni mnie samo podejście do źródeł: bardziej interesuje mnie sposób argumentacji w sprawie słów uznawanych za nierodzące niż to, jak słowa te mieszczą się w całym systemie językowym;

⁴ J. Baudouin de Courtenay, *Zarys historii języka polskiego*, Warszawa 1922, s. 4–5. Współcześnie tę samą dychotomię w swojej pracy stosuje np. I. Bajerowa, *Zarys historii języka polskiego 1939–2000*, Warszawa 2005.

bardziej kontekst ideologiczny i polityczny, który tłumaczy czyjeś wyobrażenia o języku i jego naturze niż problemy samego języka.

Zakres czasowy tekstu wpisuje się z grubsza w językoznawcze periodyzacje dziejów polszczyzny. Tadeusz Lehr-Spławiński na mniej więcej połowę XVIII stulecia datował początek „doby odrodzenia języka literackiego”, która poprzedzać miała okres polszczyzny współczesnej⁵. Z kolei dla Zenona Klemensiewicza „doba nowopolska” w dziejach języka polskiego zaczynała się około 1780 roku, a poprzedzona była okresem przejściowym, który oddzielał ją od „doby średniopolskiej”. Swój wywód zaczynam właśnie od schyłku tej ostatniej (ok. roku 1750), aby móc porównać podejście do „czystości” polszczyzny przed i po nastaniu oświecenia. W tej kwestii periodyzacja językoznawcza pokrywa się zresztą dobrze z ramami czasowymi przyjmowanymi zazwyczaj w historii pojęć. „Czas siodła” w przypadku polszczyzny – jakkolwiek zapewne przesunięty w stosunku do języka niemieckiego – jest skutkiem takich samych zmian cywilizacyjno-politycznych, które nastąpiły po oświeceniu i/lub w wyniku rewolucji przemysłowej. Nie muszę dodawać, że wszystkie te periodyzacje są płynne i umowne: wiemy, że w drugiej połowie XVIII wieku język polski znacząco się zmienił, ale nie nastąpiło to z dnia na dzień. Co więcej, przez dużą część tego stulecia nakładają się na siebie przynajmniej dwie „warstwy czasu” (*Zeitschichten*): w tym samym czasie żyją i tworzą ci, którzy o języku polskim myślą jeszcze na wzór barokowy i ci, którym bliższa jest oświeceniowa poetyka klasycystyczna.

Zanim przyszło oświecenie

Tę historię dałoby się zacząć oczywiście wcześniej niż w połowie XVIII wieku. Można przytoczyć chociażby słynny dwuwiersz Mikołaja Reja o swoim, „a nie gęsim” języku z XVI stulecia i długo pisać o słusznie niezaprzeczanym znaczeniu renesansu. Można, jak Witold Taszycki w 1953 roku, wskazywać np. zasługi arcybiskupa Jakuba Świnki dla krzewienia polszczyzny w końcu wieku XIII i narzekać, że „nie bardzo zwracali uwagę na język miejscowy krzewiciele chrześcijaństwa w państwie Mieszka I oraz Bolesława Chrobrego”⁶. Każdy wybór jest do pewnego stopnia konwencjonalny, jednak okres oświecenia ma z punktu widzenia tematu tego tekstu trzy istotne właściwości. Po pierwsze, przełom XVIII i XIX wieku to czas pełnego uformowania się polszczyzny jako nowoczesnego języka ze słownikiem (Samuela Bogumiła Lindego), opracowaną gramatyką (Onufrego Kopczyńskiego),

⁵ T. Lehr-Spławiński, *Język polski. Pochodzenie, powstanie, rozwój*, wyd. 3, Warszawa 1978 [1947], s. 6–9.

⁶ W. Taszycki, *Wstęp*, w: *Obrońcy języka polskiego wiek XV–XVIII* (Biblioteka Narodowa, seria I, nr 146), Wrocław–Warszawa 2004 [1953], s. V i VII–VIII.

rozwiniętym piśmiennictwem, zakorzeniem w systemie szkolnym, administracyjnym etc. Po drugie, to pisarze oświecenia szczególnie zwrócili uwagę na problem „czystości” i „bogactwa” języka, tocząc boje słowne przeciwko makaronizmom. Po trzecie wreszcie, w tych bojach bodaj po raz pierwszy uznano i podniesiono polityczne znaczenie mowy narodowej i uznano, że to państwo i jego instytucje powinny zajmować się polszczyzną. Niektórzy – jak Hugo Kołłątaj – formowali oświeceniowy (można by rzec: józefiński) postulat, aby w całej Rzeczypospolitej polszczyzna była językiem edukacji i urzędów, właśnie w imię „jakobińskiej” wizji nowoczesnego, sprawnego i jednolitego państwa⁷. Oświeceni wprowadzili język do sfery pojęć politycznych. Historycy literatury byli tego świadomi już dawno, lecz wypowiadali tę prawdę trochę innymi słowami: „Połowa XVIII w. stanowi uświadomienie sobie przez różne kręgi społeczne roli, jaką odgrywa język ojczysty w całości kształcie życia narodowego. [...] Równie ważny jest jednak fakt kształtowania się w Polsce połowy XVIII w. nowożytnej tożsamości narodowej”⁸.

By tę zmianę dobrze pojąć, warto porównać oświeceniowe rozumienie języka z przedoświeceniowym i w tym celu zajrzeć do hasła „Język polski” w *Nowych Atenach* Benedykta Chmielowskiego z połowy XVIII wieku – późnobarokowego kompendium wiedzy i sądów o świecie. „JĘZYK POLSKI, wielu podszyty językami Cudzoziemskimi, osobliwie Łacińskim Niemieckim, Francuskim &c z iakiey racy?”⁹ – na to pytanie odpowiedź jest taka: „Jako Hebrajski Język po niewoli Babyłońskiej wiele mieć w sobie począł słów Syryjskich y Chaldejskich z ustawicznej z tamtym Narodom konwersacyi, [...] tak nasz Słowiańsko-Polski język podszywa się [w znaczeniu: jest podbity od spodu, jest przetykany – MJ] wielu językami, osobliwie Łacińskim, Niemieckim, Francuskim”¹⁰. Długa lista przyczyn takiego stanu dotyczy zarówno kwestii historycznych (kontakty kościelne, wpływ szkoły, moda dworska i poszczególni monarchowie etc.), jak i wartościująco-socjologicznych: „język Łaciński jest język Uniwersalny i Święty [i precyzyjny, dodaje chwilę później Chmielowski – MJ], jak wiadomo uczonym”, a „Polacy [...] szable na karkach nieprzyjaciół, nie ięzyk polerując, mieli ięzyk Słowiański prosty, nie polerowny”¹¹.

Od tego czasu aż do dnia dzisiejszego argumentacja wskazująca znaczenie międzykulturowych kontaktów językowych oraz instytucji szkoły, Kościoła, dworu i wojska będzie się zresztą pojawiała niemal w każdej pracy o rozwoju

⁷ M. Janowski, *Rozpacz oświeconych? Przemiana polskiego języka politycznego a reakcje na upadek Rzeczypospolitej*, „Wiek Oświecenia”, 25 (2009), s. 25–60.

⁸ B. Kryda, *Język narodowy*, w: *Słownik literatury polskiego oświecenia*, red. T. Kostkiewiczowa, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1977, s. 220.

⁹ B. Chmielowski, *Nowe Ateny albo Akademia wszelkiej scyjencyi pełna*, w: *Wybór tekstów z dziejów języka polskiego do połowy XIX w.*, red. M. Cybulski, Łódź 2015, s. 417.

¹⁰ *Ibidem*, s. 417.

¹¹ *Ibidem*, s. 418.

polszczyzny i zapożyczeniach. Księdza Chmielowskiego od jego dziewiętnasto- i dwudziestowiecznych następców różni tylko to, że on historycznego wywodu wpływów obcych języków nie uważał bynajmniej za problem lub też złą kolej losu. Wręcz przeciwnie, bo pisał wprost, iż to dobrze, że w polszczyźnie są obce (łacińskie) wyrazy, podając argumentację dwojakiej natury: estetycznej (brzmi to ładniej) i użytkowej (łatwiej i dokładniej jest używać różnych obcych słów): „Piękniey i skłádniey mówić z Łaciny Rhetoryka, niż Krasomowstwo, Philosophia, niżeli Miłość mądrości; Physica, niż Szkoła rzeczy naturalnych; Astronomia, niż Gwiazdarska nauka. [...] J gdyby Polacy (jako teraz invaluit Usus) Łaciny poniechawszy, albo Spolszczonych terminow, samą mowili y pisali Polszczyzną, musieliby się wrócić, do zarzuconey y nie zrozumianey Słowiańszczyzny”¹². Z kolei „gdy teraz kto co samym językiem Polskim in materia politica pisze, albo mówi, namozoli sobie głowy y często sens zaćmi”¹³. Przekonanie, że sam polski jest „prosty i niepolerowany” było u pierwszego polskiego encyklopedysty stwierdzeniem stanu rzeczy: Francuz może wszystko, co chce, wyrazić po francusku, a Polak po polsku musi posiłkować się obcymi słowami. To, że dla Chmielowskiego makaronizmy były miłym dla ucha świadectwem erudycji, jest jego osądem estetycznym. Wielość obcych słów nie oznacza wcale, że językowi polskiemu groziłoby jakieś niebezpieczeństwo: autor *Nowych Aten* był świadomy, że mowa zmienia się w toku dziejów i że od początku swobodnie przyjmuje nowe słowa, zwłaszcza z języka „uniwersalnego i świętego”.

Należy uczciwie dodać, że ksiądz Chmielowski był rad przede wszystkim zapożyczeniom z łaciny. Do nowożytnych języków, zwłaszcza francuskiego, nastawiony jest dużo bardziej krytycznie, jako do niepotrzebnej nowinki:

A gdybyś w też mowy Francuskie, Niemieckie, Hiszpańskie rzucal Polaku terminy, *risum, non aplausum* odniósłbyś, bo to jest *novitas*; *consequenter* i w dyskursach familiarnych, że często Cudzoziemskich zażywasz terminów, Język Ojczysty i swój psujesz; Patriotą będąc jesteś Cudzoziemcem, bo cię drudzy nie rozumieją. [...] Czemuż by być nie mogła Ojczystych terminów *abundantia*, wszystkich rzeczy expressja, żadnego oprócz Łacińskiego, i to *ad culturam* tylko, nie zażywając¹⁴.

Widać więc, że i Chmielowskiemu, wyłączając łacinę, nieobca jest idea swoiście rozumianej czystości języka i że wcale nie jest przeciwny wynajdywaniu polskich słów lub spolszczaniu słów obcojęzycznych. Nie ma tu jednakże argumentu politycznego. Słowa francuskie w polszczyźnie są złe, bo utrudniają zrozumienie się (sam Chmielowski ich nie zna), a nie dlatego, że są zapożyczeniami. Choć stan języka jest funkcją historii narodu, to ta relacja nie działa w drugą stronę: język nie wpływa na los narodu czy państwa.

¹² *Ibidem*, s. 418.

¹³ *Ibidem*, s. 419.

¹⁴ B. Chmielowski, *op. cit.*, <https://literat.ug.edu.pl/ateny/0040.htm> [dostęp: 26 II 2019].

W sumie tę część *Nowych Aten* można jednak czytać nie tylko jako dzieło anachroniczne czy reakcyjne. W odróżnieniu od dawnych interpretacji, współcześni historycy literatury podkreślają raczej przejściowy – między barokiem i oświeceniem – charakter kompendium Chmielowskiego. Słowa o wyższości łaciny i pożytkach z przetykania nią polszczyzny formułował już w kontrze do pojawiających się w tym czasie głosów przeciwko makaronizmowi. Obrona łaciny nie byłaby przecież konieczna, gdyby nikt jej nie atakował.

Przeciw makaronizmowi, za nowymi słowami

Tymczasem taka postawa – afirmacji łacińskich słów i wtrętów w polszczyźnię – była tą, którą najbardziej piętnowali oświeceni. W *Rozmowie o języku polskim* z 1758 roku pióra Franciszka Bohomolca (wydanej wprawdzie po łacinie w roku 1752, a więc dokładnie w tym samym czasie, w którym ukazywały się *Nowe Ateny*) dwaj dawni polscy poeci – Jan Kochanowski i Samuel ze Skrzypnej Twardowski – usiłują przekonać niejakiego Makarońskiego do tego, by starannie podchodził do polszczyzny i unikał „wyzebranych słów”¹⁵. W tej erudycyjnej dyspucie (pojawiają się odwołania do Horacego, Cycerona, Polibiusza etc.) samo mieszanie słów polskich z łacińskimi czy francuskimi było potępione jednoznacznie. Nie oznaczało to jednak całkowitego odrzucenia zapożyczeń. Bohomolec ustami Kochanowskiego tłumaczył: „Możesz zażywać słów cudzoziemskich w niektórych okolicznościach”¹⁶ i zaliczał do nich słowa już spolszczone od dawna (honor, polityk, interest, publiczny, prywatny, minister, kontent, senator), słownictwo naukowe (teologiczne, lekarskie, prawne etc.). „Możesz czasem i nowemu słowu dać miejsce w polszczyźnię, gdy jaka rzecz nowa, za granicą wynaleziona, zagranicznym będzie nazwana imieniem; tak nazywamy: *dywan, kireja, taborecik, kanapa* etc.”¹⁷

Przekonanie o tym, że degeneracja polszczyzny i kultury polskiej jest jednym z objawów degeneracji państwa, legło u podstaw oświeceniowej refleksji o języku i jego znaczeniu. Polski miał wyjść z domowych ram – przestać być językiem prywatnym i potocznym, przejmowanym głównie od dworskiej służby¹⁸,

¹⁵ F. Bohomolec, *Rozmowa o języku polskim*, w: *Obroncy języka polskiego...*, s. 300.

¹⁶ *Ibidem*, s. 313.

¹⁷ *Ibidem*, s. 314.

¹⁸ „Umiemy to tylko z języka naszego, cośmy się w domu, w szczupłym bardzo osób do nas należących, piastunek, służalców albo czeladnej prostoty obrębie nauczyli. [...] Gadać umiemy pisać i mówić rzadko kto z nas umie, a to z własnej, jakem wyżej powiedział, winy [podkr. – MJ], że sobie szczególnej nauki w wydoskonaleniu się w ojczystym języku przez czytanie i rozmyślanie nie czyniemy” – stwierdzał w 1772 r. Adam Naruszewicz, *Do czytelnika*, w: *Kaja Kornelijusza Tacyta Dzieła wszystkie przekładania Adama Stanisława Naruszewicza Societatis Jesu*, t. 1, Warszawa 1772, w: *Obroncy języka...*, s. 345–346.

a stać się w pełni językiem publicznym Rzeczypospolitej. Pisarze i publicyści doby stanisławowskiej mówili więc jasno o potrzebie naprawy polszczyzny i rozszerzenia zakresu jej używania, jako języka wykładowego w szkołach średnich czy na studiach uniwersyteckich – języka literatury, nauki, publicystyki. Oznaczało to detronizację łaciny jako mowy „uniwersalnej i świętej”, co – jak wiemy – spotykało się czasem z niezrozumieniem i oporem¹⁹. Oznaczało także potrzebę instytucjonalnego (państwowego) wsparcia dla języka polskiego. Postulaty wydania gramatyki, słowników, tłumaczeń dzieł zagranicznych, a także utworzenia instytucji zajmującej się opieką nad naukami, kulturą i językiem pojawiały się już od samego początku rządów Stanisława Augusta. W 1766 roku Adam Kazimierz Czartoryski pisał:

Spodziewamy się, że pod mądrym króla a rodaka naszego panowaniem, który jako swój naród tak i język kocha, pocznie się wydoskonalać, że się jakie zjawi towarzystwo ludzi uczonych, które zachęcone łaską i pańskimi względami, wsparte zaś stałą hojnością, ułoży nam doskonałe gramatyki, napisze słowniki wszystkich kunsztów, nauk i rzemiosł, wskrzesi stare słowa i one odnowi, wynajdzie nowe [...] Tymczasem zaś potrzeba tłumaczyć ksiąg jak najwięcej [...], zaniechawszy wszelkich języków cudzoziemskich używania jako sławie narodu przeciwnego i uwłaczającego²⁰.

Podobną myśl parę lat potem wyrażał Ignacy Krasicki na łamach „Monitora”:

Nie jest naganna chęć korzystania z tego, co u sąsiadów naszych dobrego widziem, ale przyłgnięcie do cudzoziemszczyzny takowe, które własnego kraju wzgardę ciągnie niegodziwą. Doznaje tego na sobie nasz język polski niegdyś obfity, dziś wzgardzony i w ostatnim obarczeniu²¹.

Lekarstwo, jakie proponował na to biskup warmiński, było również takie samo:

Używanie częste, ksiąg pisanie rozszerza język. Niech jedni piszą, drudzy tłumaczą, nie będzie takiej myśli, która by się po polsku nie wydała, nie będzie takowego słowa, które by się w mowie naszej nie mogło pomieścić²².

¹⁹ Z protokołów wizytacji szkolnych z lat 80. XVIII w. wiemy, że wielu mieszkańców Lubelszczyzny wolało zamiast do polskojęzycznych szkół w Rzeczypospolitej posłać synów do szkół w austriackiej Galicji, gdzie językiem nauczania nadal pozostawała łacina. T. Wierzbowski, *Raporty generalnych wizytatorów*, Warszawa 1906–1914, z. 26, s. 45, cyt. za: Z. Klemensiewicz, *op. cit.*, s. 685, przyp. 32. Jeszcze w 1786 r. w wydanej anonimowo traktacie *Mędrak Lingwista* Bernard Domośławski przekonywał, że łacina i greka wobec języków nowożytnych mają się tak jak flakon z perfumami do osoby wyperfumowanej. [B. Domośławski], *Mędrak Lingwista czyli zdanie o szacunku i nabyciu potrzebnym uczonych Języków*, Sandomierz 1786.

²⁰ F. de Juvenel de Carlanças, *Historja nauk wyzwolonych*, w: *Obrońcy języka polskiego...*, s. 337.

²¹ I. Krasicki, *Przeciwko wzgardzie mowy ojczyznej*, „Monitor”, nr 10, 5 V 1765, w: „Monitor” 1765–1785. Wybór, red. E. Aleksandrowska, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1976, s. 18–19.

²² *Ibidem*, s. 20.

Polszczyznę – podobnie jak całą Rzeczpospolitą – trzeba modernizować i wzmacniać. Oświeceni doby stanisławowskiej łączyli więc odrzucenie obcojęzycznych wtrętów z wielką życzliwością wobec nowych słów w polszczyźnie. Krasicki, Bohomolec, Adam Kazimierz Czartoryski i całe środowisko „Monitora” wielokrotnie przekonywało swoich czytelników, że język polski sam w sobie nie jest „gruby” i nieprzyjemny, że intensywna praca nad nim pozwoli go „wydoskonalic”, a wraz z nim – także polskość samą. „Najwyższy zaszczyt języków – obfitość słów, a przeto sposobność wyrażenia nimi wszystkiego”²³. Słowa te miały być polskie „z dawnych ksiąg” albo nowe – wymyślone lub spolszczone. Twórcy polskiego oświecenia nie byli bowiem purystami, choć kondycja i czystość polszczyzny były dla nich jednym z priorytetów. Ich problemem nie był jednak nadmiar słów w języku polskim (z których niektóre uznawaliby za niepotrzebne), ale przeciwnie – ich niedobór. Podobnie jak cytowany wyżej Bohomolec, także Krasicki czy Czartoryski nie widzieli żadnego zagrożenia w polonizowaniu obcych wyrazów. Ten ostatni przekonywał uczniów Szkoły Rycerskiej:

Jeżeli mogli Włosi i Francuzi zdobyczą słów greckich i łacińskich język swój uczynić obfitszym, czemu nie Polacy branemi z ruskiego, z słowieńskiego, z czeskiego słowy i sposobami mówienia, byleby one rzecz dobrze wyrażały i zgadzały się z gruntem języka polskiego. Do tego czemu by nowych nie można było wynaleźć, osobliwie stosujących się do fizyki, matematyki i lekarskiej sztuki, które z początku cierpkie, z czasem się uleżały i w powszechny zwyczaj poszły²⁴.

Idąc za tymi radami, autor posługujący się pseudonimem Spytek Słowiński zaproponował w 1775 roku na łamach „Monitora” długą listę nowych słów złożonych. Niektóre z nich na dobre się przyjęły (bezkarność, dobroczynność, gołoledź, rozpusztnik), inne brzmią dla nas raczej egzotycznie (*chłopukoń*, tj. centaur, *powrozobiegun*)²⁵. W generowaniu nowych słów przodował zwłaszcza Jacek Idzi Przybylski, tłumacz dzieł klasycznych i profesor krakowskiej Szkoły Głównej. I choć wiele z nich spotkało się z krytyką ze strony współczesnych (np. Franciszka Ksawerego Dmochowskiego), to słowa takie jak: *wszechnica*, *mniemania* czy też *pomnik* są odtąd trwałym składnikiem polszczyzny. Zmiana językowa w ostatniej ćwierci XVIII stulecia była głęboka i trwała. Przekonani byli o tym też współcześni: w wydanej pośmiertnie przez Hugona Kołłątaja książce Franciszka Salezego Jezierskiego *Niektóre wyrazy porządkiem abecadla zebrane y stosownemi do rzeczy uwagami objaśnione* (leksykonie wzorowanym trochę na *Słowniku filozoficznym*

²³ I. Krasicki, *O sposobach wydoskonalenia naszego języka*, „Monitor”, nr 57 16 VII 1766, w: „Monitor”..., s. 108.

²⁴ F. de Juvenel de Carlanças, *op. cit.*, s. 336.

²⁵ Spytek Słowiński, *O bogactwie słownictwa polskiego*, „Monitor”, nr 76 z 23 IX 1775, w: „Monitor”..., s. 424–432.

Woltera) jej autor – objaśniający po swojemu znaczenia wybranych pojęć – mógł sobie już pozwolić na żartobliwe podejście do kategorii zapożyczeń, gdy przy haśle „człowiek” pisał:

To słowo oznaczające Osobę ludzką musi być w języku Polskim wyrazem zagranicznym i obcym, bo jeżeli Człowiek znaczylby w Polskim języku wspolney natury iestectwo; więc Polska musiałaby mieć Prawa Człowieka zabezpieczające jego własności i wolności, ponieważ zaś tego wszystkiego w Polsce niemasz, więc w Polskim języku wyraz Człowiek iest cale wyrazem postronnym i obcym²⁶.

Jednak mimo niewątpliwych sukcesów w pracy nad upowszechnianiem języka polskiego i wzbogacaniem go o nowe słowa i zwroty cele oświeconych zostały zrealizowane połowicznie, a część z nich – jak powołanie Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk (1800) czy też wydanie sześciotomowego *Słownika języka polskiego* Lindego²⁷ (1807–1814) – osiągnięto już po ostatecznym upadku państwa, któremu miały służyć. Spory o reguły ortografii (między Onufrym Kopczyńskim a Stanisławem Staszicem, między Janem Śniadeckim a Kazimierzem Brodzińskim i Joachimem Lelewelem, a później – między Warszawskim Towarzystwem Naukowym a krakowską Akademią Umiejętności itp.)²⁸, a także o to, które słowa mogą być w języku polskim używane, trwać będą przez cały XIX wiek. Trwałym osiągnięciem doby schyłku Rzeczypospolitej było samo wskazanie dobrej polszczyzny jako synonimu dobrej polskości. To właśnie oświecenie stanisławowskie uformowało i wypromowało pogląd, że nauczenie się i publiczne używanie języka ojczystego (narodowego) jest obowiązkiem każdego, kto świadomie poczuwa się do przynależności do wspólnoty narodowej. Zaś kondycja narodu i kondycja języka są ze sobą nierozzerwalnie splecione. Słowem – jak ujął to Zbigniew Kloch, pisząc o poglądach Stanisława Kostki Potockiego – „społeczeństwo ma taki język, jaki jest mu niezbędny”²⁹. Potocki zaś ujmował to już w 1815 roku następująco: „język jest związkiem każdej społeczności, nie startą cechą narodów, tkliwą braterstwa oznaką i nie starganym węzłem

²⁶ F.S. Jezierski, *Niektóre wyrazy porządkiem abecadla zebrane y stosownemi do rzeczy uwagami objaśnione*, Warszawa 1791, s. 22–23.

²⁷ Na marginesie warto zwrócić uwagę, że Linde miał pełną świadomość historycznej zmienności języka i możliwych kolei jego losów: „Znaczne odmiany, zachodzące w rządach krajowych, znacznie też i na język działają, bądź co do wzrostu, bądź co do upadku onego, podług zachodzących okoliczności mniéj lub więcéj mu sprzyjających. W takim razie ten największą robi językowi przysługę, kto go w całej obszerności w iedno zebrawszy, podaie do potomności. Jeżeli [język] upadnie, potomni będą mieli zkąd go podsyćić, jeżeli wzrostu nabierze, będą mieli pamiątkę tego czém był, a na zawsze skazówkę, czém być może i powinien”. S.B. Linde, *Wstęp do słownika polskiego*, w: *idem, Słownik języka polskiego*, t. 1, Warszawa 1807, s. I–II.

²⁸ Por. np.: *Rozprawy i wnioski o ortografię polską, przez deputacyą od Królewskiego Towarzystwa Warszawskiego przyjaciół nauk wyznaczoną*, Warszawa 1830.

²⁹ Z. Kloch, *Stanisław Kostka Potocki o języku i stylu. Rekonesans badawczy*, „Pamiętnik Literacki”, 77 (1986), z. 4, s. 140.

rozszarpanych nawet narodów. Rzućmy okiem na siebie, czymżebyśmy byli, gdyby nie ten wspólny ojców naszych język, w którym już jedynie Polska istniała?”³⁰ Choć – jak twierdzi znawczyni dziejów polskiego języka doby oświecenia Zofia Florczak – nie mamy bezpośrednich dowodów na to, że w Polsce przed 1795 rokiem znano pisma Herdera czy Vica³¹, to wyrażana w nich wizja związku języka i narodu obecna jest, jak widać, także w pismach pisarzy polskich. Ich cechą charakterystyczną jest przekonanie o potrzebie usilnej pracy nad polszczyzną, której elementem miało być także włączanie wielu nowych słów zastępujących dawne makaronizmy. Stąd tak duża otwartość na spolszczone zapożyczenia i neologizmy.

Klasycy, puryści i syndrom oblężonej twierdzy

W obliczu ostatecznej utraty państwa i poczucia zagrożenia bytu narodowego owa otwartość na nowe słowa i zwroty padła jednak ofiarą jako pierwsza, przynajmniej w dyskursie teoretycznym (co innego w praktyce językowej). Jeszcze w 1816 roku wspomniany wyżej Stanisław Kostka Potocki, uchodzący wszak za sztywnego obrońcę klasycznego i konserwatywnego podejścia do języka, choć krytycznie spoglądał na zapożyczenia z języków obcych, zwłaszcza z niemieckiego, uznawał ciągle potrzebę tworzenia i przyswajania nowych słów, a za kryterium rozstrzygające brał zwyczaj językowy: „Nawyknienie wszystko stanowi i nie masz takiego słowa, coby się właściwym nie stało, jeżeli powszechnie przyjętym i używanym będzie”³². Jednak w tym samym czasie Jan Śniadecki prezentował na łamach „Dziennika Wileńskiego” dużo bardziej zachowawcze stanowisko: słów nie godzi się wykrzywiać, zmieniać lub przerabiać, bo – jak twierdził wileński profesor – język polski jest właściwie taki sam jak za czasów Zygmunów (w domyśle: optymalny). Ograniczenie zmian zapewnić może „stałość, ocalenie, i zachowanie narodowego ięzyka”. Język bowiem – jak obrazowo ujmował to Śniadecki – „nie jest to stroiem kobiecym wystawionym na dziwactwa mody, i wymysły przymlenia, któryby wolno było giąć, wykręcać i przerabiać; żeby go potem porzucić i zaniechać”³³. Konserwatyzm Śniadeckiego (ten sam, który skłaniał go do nieużywania litery „j”)³⁴ był konsekwentny: sprzeciwiał się on

³⁰ S.K. Potocki, *O potrzebie ćwiczenia się w ojczystej mowie*, w: *idem, Pisma rozmaite*, t. 2, Wilno 1818, s. 334–335.

³¹ Z. Florczak, *Język – teorie*, w: *Słownik literatury oświecenia...*, s. 233. Zob. też *eadem, Europejskie źródła teorii językowych w Polsce na przełomie XVIII i XIX wieku*, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1978.

³² S.K. Potocki, *Pochwały, mowy, rozprawy*, cz. 2, Warszawa 1816, s. 499.

³³ J. Śniadecki, *O języku polskim*, w: *idem, Pisma rozmaite*, t. 3, Wilno 1818, s. 3–4.

³⁴ „Przystąpmy już do tego zawołanego j, które tyle narobiło zwalisk i zawichrzenia, i jest prawdziwie złym duchem [wyróżnienie w oryginale – MJ] grammatycznego odmetu i niepokoju.

np. polszczeniu przyjętych już słów z greki lub łaciny, zwłaszcza pojęć naukowych – „lepszy iest rzadko użyty, harmoniczny i powszechnie używany makaronizm [tu w znaczeniu: zapożyczenie leksykalne – MJ], niż niedorzeczna polszczyzna”³⁵. Zmiany językowe sprzed lat są więc akceptowalne, ale te współczesne są nie do przyjęcia:

trzebaż było ieszcze tey ostatniey kłęski na nieszczęśliwy, tyłą dolegliwościami trapiiony Naród, żeby nawet mowę oyczystą, ten ieden zabytek iego chwały grzebać i niszczyć! żeby w stolicy przemawiano i pisano ięzykiem, którego iuż szczerzy Polak zaczyna nie rozumieć! [...] Zgnięliśmy anarchią polityczną; mamyż się ieszcze gubić na ięzyku, smaku, i rozsądku anarchią literacką?³⁶

Motywy postawy Śniadeckiego były tożsame z wcześniejszym o kilka lat apelem Stanisława Staszica na forum Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, że trzeba „wśród zaguby narodu zachować od zaguby język narodowy”³⁷.

Kontekstem tego typu opinii był rzecz jasna początek polskiego romantyzmu i „spór klasyków z romantykami”, a więc kwestia tak szkolna, że nie ma sensu długo się nad nią zatrzymywać³⁸. Dodam więc tylko, że z punktu widzenia tego tekstu (a więc historii rozumienia „czystości” języka polskiego) istotne są tu dwa elementy. Po pierwsze, spór toczył się między innymi o to, czy literacka polszczyzna może i powinna włączać w swój zasób leksykalny słowa potoczne, gwarowe³⁹. Po drugie, była to również dyskusja o tym, czy zmiana językowa może i powinna dokonywać się oddolnie (a więc do pewnego stopnia chaotycznie), czy raczej dopiero ekspercka, odgórna sankcja powinna decydować o nowych słowach. Śniadecki byłby zdecydowanym

Litera ta, iest w ięzyku naszym obca, i cale mu niepotrzebna. Nie znalazłem iey ani w Mikołaiu Reiu, ani w Gornickim, ani w Skardze, zgoła w żadnym dobrym polskim pisarzu XVI wieku”. *Ibidem*, s. 82.

³⁵ *Ibidem*, s. 12–15.

³⁶ *Ibidem*, s. 9–10.

³⁷ A. Kraushar, *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk*, ks. 2, t. 1, Warszawa–Kraków 1900, s. 190, cyt. za: M. Janowski, *Rozpacz oświeconych?...*, s. 57.

³⁸ O wpływie filomatów i filaretów na słownictwo języka polskiego pisała m.in. Z. Kawyn-Kurzowa, *Język filomatów i filaretów. Przyczynek do dziejów języka polskiego XIX wieku. Słownictwo i słowotwórstwo* (Prace Językoznawcze, t. 36), Wrocław–Warszawa–Kraków 1963.

³⁹ Komentując na początku XX wieku stan polszczyzny w czasach Księstwa Warszawskiego Aleksander Brückner – dokonując zresztą charakterystycznej antropomorfizacji języka – tak ją opisywał: „Z doby to warszawskiej wyszedł ostatecznie nasz język otrzaskany, ogładzony, wymuskany, niby francuski, za to bezkrwisty nieco, przybladły znacznie. Spędzono zeń zdrową ogorzałość, rubasność, poufałość, cechy gospodarczego, ziemiańskiego bytu, zrosłego z przyrodą, biesiadą, hulanką. Wyszedł to salonowiec, to biuralista, dbały wyłącznie o poprawność, jasność, cedzący niby słówka przez zęby, pedant poniekąd. [...] wystrzegano się wszelkich «solecyzmów» i «provincjonalizmów»; zawężono słownik do tyłu a tyłu słów, innych pod karą złego smaku każdy się wystrzegał”. A. Brückner, *Dzieje języka polskiego*, wyd. 4, wstęp W. Taszycki, Wrocław–Kraków 1960 [1909], s. 157.

zwolennikiem tej drugiej opcji, Mickiewicz w swoich wykładach paryskich w 1844 roku stawał zdecydowanie za zmianą oddolną:

wiecie, Panowie, że autorowie słowników i gramatyk nie wzbogacili języka ani jednym nowym wyrażeniem. [...] Ludzie trudniący się nim [tj. językoznawstwem – MJ], pozbawieni ducha twórczego, chcą zawsze ustalić, ująć w definicje i zatrzymać to, co jest żywotne, zdolne do postępu i nie dające się zdefiniować⁴⁰.

Do tego wątku wypadnie mi jeszcze niebawem powrócić, bo jest on jedną z głównych osi sporu o neologizmy i zapożyczenia aż do czasów dzisiejszych.

Zanim jednak o tym, warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden wymiar przytoczonego przed chwilą cytatu z pracy Jana Śniadeckiego. Zmiany zachodzące w języku były według niego czymś moralnie złym i szkodliwym – niszczyły polską kulturę, gubiły więź z przeszłością, a także z rodakami mówiącymi po polsku. Słowem: lepiej już było, a teraz, jeśli będzie się coś zmieniać, to tylko na gorsze – to dla zdecydowanej większości purystów aksjomat ich wywodów, wyrażany *explicite* lub przyjęty *implicite*. Poszczególni autorzy różnią się jednak skalą radykalności swoich poglądów. O ile w 1815 roku dla rektora wileńskiej wszechnicy zbieżność współczesnej oraz szesnastowiecznej polszczyzny była stwierdzeniem obiektywnego faktu, o tyle trzydzieści lat później dla jednego z wychowanków Uniwersytetu Wileńskiego – gramatyka-amatora księdza Jana Deszkiewicza – przywrócenie w dziewiętnastowiecznej polszczyźnie reguł z XVI stulecia stało się wymarzonej celem. We wstępie do swojej *Gramatyki języka polskiego* z 1846 roku deklarował on, uprzedzając głosy krytyczne wobec swojej pracy:

Jeśli zaś uczeni tylko to powiedzą: że „Deszkiewicz nie dla nas, lecz dla XVI. w. grammatykę napisał;” zawczasu odpowiadam, iż te słowa za największą pochwałę dla siebie uznam. [...] Język nasz od czasów Skargi psuć poczęto i do dziś dnia postępowaaliśmy jak przewodnikowie, sami nieznający drogi, obłąkani. Wypadało mi więc przedstawić język w najświetniejszym okresie. Lecz skoro Ziomkowie z tym językiem i se wszystkimi jego kształcenia się drogami zapoznają; mogą wtedy iść dalej, postępować i doskonalić⁴¹.

To nie jest już zwykły konserwatyzm, to prawdziwa językowa rewolucja konserwatywna: trzeba wrócić do przeszłości, żeby móc się właściwie rozwijać.

Deszkiewicz zapoczątkował mimowolnie nurt purystów-amatorów, którzy w swoich dziełach (nierzadko wydawanych za własne pieniądze) prezentowali radykalne i zgoła utopijne wizje „oczyszczenia” języka, jednocześnie otwarcie krytykując zawodowych językoznawców i profesorów uniwersyteckich za nie dość energiczną obronę polszczyzny oraz za brak

⁴⁰ A. Mickiewicz, *Literatura słowiańska. Kurs trzeci i czwarty*, przeł. i oprac. L. Płoszewski (Dzieła. Wydanie narodowe, t. 11), Warszawa 1953, s. 453–454.

⁴¹ J.N. Deszkiewicz, *Grammatyka języka polskiego*, Rzeszów 1846, s. VIII.

woli zrozumienia dla pomysłów autorów tych prac. Już w dwudziestoleciu międzywojennym inny ksiądz i językoznawca-amator Bolesław Szeffs postulował usunięcie z polszczyzny wszystkich (!) wyrazów obcych (tzn. tych, które sam za obce uważał), skarżąc się przy tym, że jego „pomysł choćby najlepszy czy nowość jaka największy opór napotyka u zawodowców patentowych”⁴². Poczucie własnego znaczenia i nowatorstwa autora w tym względzie bywało z reguły odwrotnie proporcjonalne do rozgłosu, jaki udało mu się uzyskać⁴³.

W przekonaniu dziewiętnastowiecznych purystów – zarówno z dyplomami uniwersyteckimi, jak i bez nich – polszczyzna była zagrożona przez nowe słowa i należało jej bronić. Język był więc skarbem, którego Polacy mieli strzec przed wpływami obcych i w sytuacji braku własnego państwa pielęgnować, by przekazać go w stanie nienaruszonym następnym pokoleniom. Stąd wszelkie próby reform językowych, zmiany zasad pisowni, a przede wszystkim wprowadzania nowych słów traktowane były albo jako duże zagrożenie, albo – w najlepszym wypadku – z dystansem i rezerwą. Wspomniany już Deszkiewicz w dwadzieścia kilka lat po swoich pierwszych pracach o języku przestrzegał w 1869 roku „uczeńców, obcemi naukami karmionych, za pomocą niemieckiego języka w uczelniach i w książkach” przed pychą, która sprawić może, że z polszczyzną stanie się to, co z językiem Greków, Rzymian czy „s prześlicznymi mowami południowych [sic!? – MJ] i zachodnich Sławian”⁴⁴. Słysząc w tym ostrzeżeniu znaną już od oświecenia myśl o homologii między losem języka i losem narodu. Odmiennie jednak niż w XVIII wieku wprowadzanie nowych słów i – szerzej – zmienianie języka rozumiane było już nie jako szansa, ale problem, niebezpieczeństwo, czy też – w najlepszym wypadku – wyzwanie. Nawet Ksawery Łukaszewski, bydgoski autor polskich i polsko-niemieckich elementarzy szkolnych oraz popularnego słownika polsko-niemieckiego, skądinąd rozumiejący potrzebę nowych słów w języku, o współczesnych sobie zapożyczeniach językowych – których oczywiście pragnął się pozbyć – mówił jako o kłakolu w pszenicy. „Wyrzucić chwast, a zostanie czyste nasienie”⁴⁵.

Obrona polszczyzny, jak widać, nie miała się ograniczać jedynie do utrzymania *status quo*. Trzeba było na bieżąco tropić, chwycić i wyrzucać te słowa, które weszły do polszczyzny i zostały uznane za jej nieprzynależne,

⁴² B. Szeffs, *O czystości i sprawności mowy polskiej*, Pelplin 1926, s. 16–17. Ta praca również wyszła nakładem samego autora.

⁴³ „Calej sprawy wyrazów obcych i związanych z nią zagadnień, wszechstronnie i jako tako wyczerpująco nikt dotąd nie przedstawił [...] Brak ten ma wypełnić właśnie rozprawa niniejsza, przedstawiająca się dlatego w tym względzie jako zupełna nowość”. *Ibidem*, s. 6.

⁴⁴ J.N. Deszkiewicz, *O piśmiennictwie polskiem*, Rzeszów 1869, s. 4–5.

⁴⁵ X. Łukaszewski, *Słownik podręczny wyrazów obcych i rzadkich w języku polskim używanych*, Królewiec 1847, s. 14.

a następnie zastępować je ich „polskimi” odpowiednikami. Temu miały służyć publikacje takie jak przywołany przed chwilą *Słownik podręczny wyrazów obcych* Łukaszewskiego z 1847 roku. Po nim, do końca XIX stulecia, a w szczególności w ostatniej jego ćwierci, powstanie przynajmniej kilka kolejnych tego typu prac. Taki sam cel miały również pojawiające się co jakiś czas w polskojęzycznej prasie dyskusje o tym, które słowa są, a które nie są do przyjęcia. Czujność należało zachować także przy osobistym posługiwaniu się polszczyzną. W roku 1862 Henryk Kamieński, którego trudno nazwać przecież konserwatystą, komentując w liście do Karola Królikowskiego projekt aktu założenia Towarzystwa Podatkowego, zwracał uwagę:

Pod względem językowym, dlaczego mówić z każdym dniem, co jest wysłowienie rosyjskie, a nie każdo-dziennie, co byłoby czysto polskiem, i bardzo stosowną nowością? Wolalby ustanowienie zamiast instytucja; ustrajac albo urzadzac (wedle potrzeby) zamiast organizowac, i t.p. Wychodzstwo zamiast emigracja, polozenie zamiast pozycia – rękojmia za gwarancia⁴⁶.

Kto jest temu winien, czyli „gazeta zabija język”

Tymczasem nowe słowa pojawiały się w polszczyźnie coraz obficie: te, które wraz z romantyzmem przeszły z języka potocznego prowincjonalnej szlachty; te, które przyniósł rozwój nauk, przemysłu i techniki; te, które przysły wraz z przyspieszonym obiegiem informacji na kuli ziemskiej. Naturalną kolejną losu wiele słów do polszczyzny przeszło z języka niemieckiego i rosyjskiego, choć oczywiście nie tak wiele, jak mogło się wydawać⁴⁷. A im więcej było tych nowinek, tym większa była aktywność purystów. Dla niektórych postaci polskiego życia kulturalnego, zwłaszcza w ostatniej ćwierci XIX wieku, tropienie „słów zbytecznych” i wynajdywanie ich polskich odpowiedników stało się życiową misją i pasją. Pracami Deszkiewicza zainspirował się Fryderyk Skobel – chirurg, balneolog i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jego dziełko *O skażeniu języka polskiego w dziennikach i mowie potocznej osobliwie w Galicyi* okazało się jego najczęściej wznawianą pracą – przez kilka lat od 1870 roku wydawano je niemal corocznie. Z kolei na broszurę Skobla powoływał się inny purysta, dziś już raczej zapomniany pozytywistyczny komediopisarz Józef Bliziński, autor zbioru nazwanego *Barbaryzmy i dziwolągi językowe* (1888). Piętnowaniem „nowych i niepotrzebnych”

⁴⁶ List Henryka Kamieńskiego do Karola Królikowskiego z 14 III 1862 r., Biblioteka Czartoryskich w Krakowie, sygn. 6914, bez numeracji kart. Za wskazanie tego cytatu dziękuję Piotrowi Kuligowskiemu.

⁴⁷ Por.: B. Nowowiejski, *Zapozyczenia leksykalne z języka niemieckiego w polszczyźnie XIX wieku (na materiale czasopism)*, (Rozprawy Uniwersytetu Warszawskiego, 445), Białystok 1996; H. Karaś, *Rusycyzmy słownikowe w polszczyźnie okresu zaborów*, Warszawa 1996.

słów zajmowali się też profesjonalni językoznawcy i autorzy słowników, tacy jak Władysław Niedźwiedzki i Adam Antoni Kryński (redaktorzy tzw. Słownika Warszawskiego) czy Antoni Krasnowolski⁴⁸. O zapożyczeniach pisali też Aleksander Brückner, Stanisław Szober i szereg innych postaci. Czasem – jak w przypadku wspomnianego wyżej księdza Szeffsa czy też twórcy dzieła *Oczyściciel mowy polskiej czyli słownik obcośłów...* (1891) E.S. Kortowicza, którego inicjałów do dziś nie udało się rozwinąć⁴⁹ – praca na temat niepożądanych słów jest jedynym śladem ich życiowych dokonań.

Niezależnie od tego, czy pisali je ludzie powszechnie uznani, czy też były dziełem nieznanymi pasjonatów, teksty polskich purystów mają kilka wspólnych cech. Jedną z nich jest wskazywanie winnych tego, że polszczyzna psuje się i degeneruje. Zdziwiłby się jednak ten, kto by się spodziewał, że za winowajców uznani zostaną zaborcy i ich antypolska polityka (jakkolwiek by ją tu rozumieć). Obcy obwiniani są rzadko (bardziej rzecz jasna retrospektywnie po 1918 roku) i to zapewne nie tylko ze względu na ograniczenia cenzuralne. To nie zaborcy lub cudzoziemcy, lecz polscy czytelnicy mieli być odbiorcami prac autorów zatroskanych o stan polszczyzny – wskazywać należało więc wroga wewnętrznego. Ten zaś miał różne twarze.

Przede wszystkim – twarz dziennikarza. „Zgraja zuchwałych, bezczelnych pismaków”⁵⁰ – jak ujął to profesor Skobel – która braki w wykształceniu i dogłębnej znajomości polszczyzny przykrywa bezkrytycznie przejmowanymi słowami z obcojęzycznych depeš czy książek. Bliziński w swoich *Barbaryzmach* chętnie podawał przykłady takich – w jego poczuciu – karygodnych dziennikarskich neologizmów. Przykładowo: „Démenti. Barbaryzm najgrubszego kalibru, karygodny wybryk stylizacji reportersko-dziennikarskiej, mający niby pretensję do zaimponowania czytelnikom, ale chybający celu, bo jest tylko wysoce śmiesznym”⁵¹. Emigracyjny demokrat Jan Czyński w liście do innego polistopadowego wychodźcy, Konstantego Zaleskiego, wyrażał podobną myśl: „Czyś uważał, jak gazeta zabija nasz język. – Preskupować, kumulować, rekwirować, izolować, agitować, plantować, informować, organizować, deponować, datować, wszystko to na jednej stronie”⁵². Parędziesiąt lat później, w 1923 roku, pewien purysta-amator

⁴⁸ A. Krasnowolski, *Najpospolitsze błędy językowe zdarzające się w mowie i piśmie polskiem*, wyd. 3, Warszawa 1919 [1902].

⁴⁹ A. Czesak, „Oczyściciel mowy polskiej” E.S. Kortowicza, *Poznań 1891 – idee i zawartość*, w: *Z zagadnień leksykologii i leksykografii języków słowiańskich*, red. J. Kamper-Warejko, I. Kaproń-Charzyńska, Toruń 2007, s. 79–85.

⁵⁰ F. Skobel, *O skażeniu języka polskiego w dziennikach i mowie potocznej osoblwie w Galicyi*, Kraków 1871, s. III.

⁵¹ J. Bliziński, *Barbaryzmy i dziwolągi językowe*, Kraków 1888, s. 17, 18.

⁵² *List Jana Czyńskiego do Konstantego Zaleskiego*, Biblioteka Śląska w Katowicach, Archiwum Konstantego Zaleskiego, sygn. 371 IV, brak daty, k. 96. Ten cytat również zawdzięczam Piotrowi Kuligowskiemu.

(z zawodu matematyk)⁵³ mówił to samo, tylko z większą emfazą: „Mój Boże! – o ileż tu trzebaby zgęścić jeszcze farby, gdyby się chciało odmalować spustoszenie, jakie sięją gazety w języku”⁵⁴.

Czasem do dziennikarzy w roli niszczycieli polszczyzny dołączali pisarze, choć w tej kwestii zdania o winie poszczególnych osób były podzielone. Jak wiemy, współcześni romantykom Kajetan Koźmian czy Jan Sniadecki to w ich pisarstwie widzieli źródło degeneracji języka. Z kolei Bliźniński znajdował szereg niewłaściwych słów w książkach Józefa Ignacego Kraszewskiego. Skobel sarkał na błędy literatów, ale przezornie żadnego nazwiska nie wymieniał⁵⁵. Wrogami języka polskiego byli też urzędnicy polscy w Galicji, którzy nasiąknęli niemieczyzną i „przenosili” ją potem na zwyczaje językowe w polszczyźnie. Krakowski medyk dodawał do tej listy także niedouczonego młodych nauczycieli, którym przyszło po 1848 roku uczyć polskiego w Galicji, a także całą młodzież. W tej kwestii zgodziłby się pewnie z Ksawerym Łukaszewskim, który – mając na myśli Polaków w Prusach – jeszcze przed 1848 rokiem pytał: „Któryż tu młodzieniec, pomimo najszczerzych chęci, potrafi się wyrazić czysto po polsku? Cały jego kształt mowy będzie nosił na sobie piętno niemieckie; – bo całe jego wykształcenie opiera się na podstawach niemieczny”⁵⁶.

Choć w swoich tekstach puryści chętnie nazywali szkodzenie językowi grzechem⁵⁷, to nie był to jednak grzech ciężki w ścisłym teologicznym sensie tego słowa – z reguły niespełniona była bowiem przesłanka świadomego i celowego działania. Lekkość, przesada, bezmyślność i chęć popisania się światowością – to główne przywary tych, którzy mieli szkodzić polszczyźnie. „Opieszalność tylko nasza i niedbałość, że wolimy trzymać się upornie obczyzn, a nawet je mnożyć!”⁵⁸ Znacznie późniejszy, bo dwudziestowieczny purysta Jan Rzewnicki rozwijał tę myśl: „Tyle to się obcych wpływów

⁵³ Chodzi o Jana Rzewnickiego. O tym, że jest matematykiem, wspomina w jednym z listów do międzywojennego „Poradnika Językowego”. Por. J. Rzewnicki, *Nagonka-tysiączka*, „Poradnik Językowy”, 23/4 (IV 1927), s. 57.

⁵⁴ Rzewnicki, *Język i my. Kilka uwag o tak zwanych błędach językowych*, Płock 1923, s. 19–20.

⁵⁵ Tłumaczył się rzecz jasna szlachetnymi pobudkami: „Umyśliłem obok takich dziwolągów przytoczyć odrazu dzieło lub dziennik, w którym je spostrzegłem. Zwążywszy jednak, że takie wystawie pod pręgierzem wobec narodu pisarzów niesumiennych, nie sprowadziłyby poprawy, która przecież jest jedynym celem niniejszego pisma, ale raczej rozjątrzenie i zawiść; przeto nie chcąc walczyć z osobami, lecz z błędami, postanowiłem opuścić owe dowody prawdy w wyrazach przytoczonych”. F. Skobel, *O skażeniu...*, s. V–VI.

⁵⁶ X. Łukaszewski, *op. cit.*, s. 10.

⁵⁷ „Grzechem jest przeto narodowym, posługiwać się wyrazami i wyrażeniami obcojęzycznymi mając swoje własne, mogąciami [sic! – MJ] wysłowić się należycie”. E.S. Kortowicz, *Oczyściciel mowy polskiej czyli słownik obcośłów (...) z wysłowieniem i objaśnieniem polskiem ułożony dla lepszego wyrażania się*, Poznań 1891, s. V–VI.

⁵⁸ X. Łukaszewski, *op. cit.*, s. 11.

sprzysięgło w kolei wieków przeciwko mowie naszej. Ale, jak zawsze u nas, z zewnętrznymi wrogami radzimy sobie tak lub owak. Gorsza, że wypadło językowi walczyć na dwa fronty: obce bowiem wpływy znalazły sprzymierzeńców w nas samych, w naszym lenistwie, niedbalstwie, dziwnej jakiejś ksenomanii [sic! – MJ], płynącej z braku umiłowania swojskości, no i z próżności poniekąd⁵⁹. Prace purystów miały więc służyć – w ich mniemaniu – naprawie polszczyzny poprzez wzrost świadomości użytkowników języka, świadomie lub bezwiednie łamiących jej prawidłowości.

Patrząc z dystansu, można tu dziś pokusić się o spekulację, jakie właściwie motywy stały za interwencjami purystów. Wbrew pozorom nie zawsze była to tylko zamknięta i lękliwa postawa wobec szybko zmieniającego się świata (o czym za chwilę). Owszem – konserwatyzm, nacjonalizm lub ich połączenie (w różnych proporcjach) często są aż nadto widoczne. Czasem jednak chodzić mogło o coś innego lub o coś jeszcze – o autentyczną troskę o jasność i precyzję języka (rozumianą oczywiście w specyficzny sposób). Mógł to być też sposób podkreślenia kompetencji językowych właściwych klasie ludzi wykształconych (a więc używających polszczyzny zawodowo) – swoista obrona statusu społecznego własnej grupy przed efektami owych szybkich zmian. Przy całej emfazie, z jaką często pisali puryści, można dać wiarę ich narzekaniom na to, że czuli się zagubieni wśród nowych słów i znaczeń. W tomie o społecznej historii pojęć aż prosi się, by chwilę poświęcić takiej właśnie interpretacji.

Sejsmograf zmiany społecznej

Spójrzmy teraz na chwilę na dziewiętnastowiecznych „oczyszczycieli” z nieco większego dystansu, który pozwoli nam ująć także szeroki kontekst społecznych przemian tej epoki. Choć dzieła purystów miały w praktyce niewielki wpływ na to, jakie wyrazy w polszczyźnie rzeczywiście się zadomowiły, a jakie na trwałe się nie przyjęły⁶⁰ – co czytelnik zdążył już pewnie zauważyć po przykładach krytykowanych słów – to jednak w optyce owych prac mimowolnie znalazło się wiele ważnych procesów: zanikanie barier stanowych i stopniowa demokratyzacja stosunków społecznych i politycznych, formowanie się nowoczesnej narodowości oraz nowych warstw społecznych,

⁵⁹ J. Rzeźnicki, *op. cit.*, s. 7.

⁶⁰ Językoznawca Artur Czesak również stwierdza, że polonizatorzy wyrazów obcych ponoszą zazwyczaj porażkę. Co więcej, czasem – jak Bolesław Szeffs – mają nawet tego świadomość: „Tworzenie bowiem wyrazów nowych, mających zastąpić przeswojone, a co niemniej ważne, wprowadzenie ich do mowy ogółu, to nie tak łatwo jak drukować i wpuszczać w obieg biletu. Ktoby tej sztuki dokazał, byłby drugim Salomonem”. B. Szeffs, *O czystości i sprawności...*, s. 26, cyt. za: A. Czesak, *op. cit.*, s. 84.

pojawienie się i rozwój cywilizacji przemysłowej czy też skutki „pierwszej epoki globalnego imperializmu”, jak czas przed 1914 r. nawał Jürgen Osterhammel. Puryści, uznający z reguły przyswojoną sobie wersję polszczyzny za najlepszą i niezmienną, byli z tego powodu bardziej niż inni wyczuleni na każdą niemal zmianę językową, jaka była skutkiem (a czasem tylko wypadkową) przemian rzeczywistości społecznej, w której żyli. I choć przyczyny tych zmian diagnozowali zazwyczaj nietrafnie (wskazując na rzeczywiste lub wymaginowane słabości użytkowników języka i jego *trendsetterów*), to ich obserwacje dają wgląd w dynamikę przemian języka i rzeczywistości.

Przekonanie, że za językową zmianą stoi też zmiana społeczna, nie jest teżą specjalnie nową. W odniesieniu do rozszerzenia granic literackiej polszczyzny przez romantyków pierwszy odnotował ją dziewiętnastowieczny historyk literatury Piotr Chmielowski, który zauważył, że po rozbiorach

szlachta musiała myśleć o sobie, jeżeli nie miała majątku, zabezpieczającego utrzymanie; a że do urzędów i stanowisk wszelakich nauka okazywała się konieczną [...] stąd wynikało garnięcie się do nauki, bardzo widoczne wśród szlachty niezamożnej na całej przestrzeni Rzeczypospolitej, gdyż w nauce zaczęto znów upatrywać potężne narzędzie wzniesienia się na wyższy szczebel towarzyski. [...] Jak gdzie indziej stan trzeci, mieszczaństwo, tak u nas szlachta drobna, do ludu pojęciami i trybem życia zbliżona, albo szlachta zubożała, której się namnożyło mnóstwo wskutek nieszczęść krajowych, zaczęła dostarczać społeczeństwu mnóstwo nauczycieli, literatów, prawników, lekarzy agronomów, techników. [...] Demokratyzacja szła u nas od warstw uprzywilejowanych, nie zaś od dołu⁶¹.

Zenon Klemensiewicz, który przywołuje ten cytat, dodaje od siebie: „Na takim tle trzeba rozważyć stanowisko Mickiewicza jako rzecznika postępu i językowego nowatorstwa”⁶². Ja zaś mogę dodać, że było to również tło utyskiwań Śniadeckiego czy Koźmiana, którzy – choć oni sami nie dostrzegli i nie nazwali tego wprost – sprzeciwiali się *de facto* owej drobnoszlacheckiej demokratyzacji literackiej polszczyzny w pierwszych kilku dekadach XIX wieku. Paradoks polegał na tym, że była ona możliwa dzięki ich działaniom i instytucjom (szkoły, uniwersytety), które sami wcześniej stworzyli⁶³. Polszczyznę „psuli” (włączając w nią nowe słowa) także wychowankowie Uniwersytetu Wileńskiego czy liceum w Krzemieńcu.

Wypada przytoczyć kilka innych, równie znaczących przykładów. Fryderyk Skobel zaczyna swoje dzieło od dosyć zaskakującego stwierdzenia, że „w roku 1848 zaczęła się jedna z najsmutniejszych epok dla języka polskiego: epoka zepsucia”⁶⁴. Dlaczego akurat wtedy?

⁶¹ P. Chmielowski, *op. cit.*, za: Z. Klemensiewicz, *Historia języka...*, s. 536–537.

⁶² Z. Klemensiewicz, *Historia języka...*, s. 537. Nieco marksizująca frazeologia Klemensiewicza może momentami razić dzisiejszego czytelnika, ale nie umniejsza trafności jego spostrzeżenia.

⁶³ Por. M. Janowski, *Narodziny inteligencji 1750–1831*, (Dzieje inteligencji polskiej, t. 1, red. J. Jedlicki), Warszawa 2009.

⁶⁴ F. Skobel, *op. cit.*, s. I.

Jak wiadomo w roku tylekroć wzmiankowanym obudziło się w całym Cesarstwie Austriackim, uspione dotąd życie polityczne, a z nim wielka swoboda objawiania swoich myśli. Z tego wszystkiego korzystała przedewszystkiem młodzież niedowarzona; ludzie, którzy nie tylko w życiu swoim nie widzieli gramatyki polskiej; ale którzy nadto mówiąc i pisząc w szkołach tylko po niemiecku, wreszcie też po niemiecku myśleć poczęli. Kiedy więc, chcąc pokazać światu, że są Polakami, chcieli pisać po polsku [podkr. – MJ]; myśli niemieckie, jakie im się snuły po głowie, tłomaczyli dosłownie na język polski⁶⁵.

To, na co tak narzeka krakowski profesor, jest w istocie niczym innym jak procesem formowania się polskiej tożsamości narodowej wśród młodych galicyjskich elit (w tym wypadku: uczniów i absolwentów szkół, jak wiemy, często zresztą o niepolskich korzeniach – potomków niemieckich czy czeskich mieszkańców Galicji)⁶⁶. Język, używany zapewne nie tak, jak życzyłby sobie tego autor starszy o przynajmniej pokolenie, jest dla nich narzędziem manifestacji przyswojonej lub utwierdzonej tożsamości w warunkach politycznych zrewolucjonizowanej monarchii Habsburgów. Tę zmianę warunków Skobel zresztą też mimowolnie dostrzega, choć bynajmniej jej nie pochwała:

W owym pamiętnym roku usłyszeliśmy po raz pierwszy w Krakowie o inteligencji [sic!, można by dodać, że to cokolwiek późno – MJ], o znakomitościach, o mężach zaufania, o ludziach lojalnych, o przysłużaniu komuś jakiegoś prawa, o pracach i dowodach pisemnych, o robieniu egzaminów, o wystawianiu świadectw, o suplementach...⁶⁷

Dla Skobla są to wszystko przykłady zepsucia polszczyzny, dla historyka zaś mogą być dowodem na wpływ przemian Wiosny Ludów na rozwój polskiego życia politycznego i nowoczesnej tożsamości narodowej.

O ile Skobel nie przepadał za „inteligencją”, o tyle Józef Bliziński (w 1888 roku!) wręcz zżymał się na „burżuazję”:

Wyraz francuski *bourgeoisie* wciśnięty gwałtem w polską formę bez żadnej potrzeby, gdyż nasze: mieszczaństwo, stan mieszczański toż samo wyrażają. [...] Oprócz tego napotkałem taki dziwoląg jak Burżua (*bourgeois*) zamiast: mieszczanin, obywatel⁶⁸.

W podobny sposób myślał zapewne Władysław Niedźwiedzki, który w 1917 roku słowo „klasa” (z dopiskiem „w społeczeństwie”) kazał wciąż zastępować wyrazem „stan”⁶⁹. Żaden z nich nie dostrzegł tego, co wie dziś

⁶⁵ *Ibidem*, s. II.

⁶⁶ Zob.: I. Röskau-Rydel, *Niemiecko-austriackie rodziny urzędnicze w Galicji 1772–1918. Kariery zawodowe – środowisko – akulturacja i asymilacja*, Kraków 2011.

⁶⁷ F. Skobel, *op. cit.*, s. III–IV.

⁶⁸ J. Bliziński, *op. cit.*, s. 15.

⁶⁹ W. Niedźwiedzki, *Wyrazy cudzoziemskie zbytęczne w polszczyźnie*, Warszawa 1917, s. 94–95. Omówienie tego słownika zob.: D. Ochmann, „Wyrazy cudzoziemskie zbytęczne w polszczyźnie” Władysława Niedźwiedzkiego (1917) – specyficzny słownik synonimów, w: *Z zagadnień leksykologii i leksykografii...*, s. 73–78.

historyk z oddalonej w czasie perspektywy: rodząca się w społeczeństwie polskim XIX wieku burżuazja była czymś innym niż znane do tej pory mieszczaństwo, mimo iż żyła w tych samych miastach – dlatego pojawiło się i upowszechniło osobne słowo. I choć do dziś słowa mieszczaństwo i burżuazja można w niektórych kontekstach użyć jako synonimy, to nie zawsze znaczą one to samo. Również „stan” był czymś innym niż „klasa”, zwłaszcza gdy obie te kategorie stratyfikacji społecznej funkcjonowały w społeczeństwie polskim XIX stulecia obok siebie, czasem się nakładając, czasem wchodząc ze sobą w konflikt. Puryści, sprzeciwiając się zmianie językowej, jaka zachodziła na ich oczach, stawali się mimowolnymi kronikarzami zmiany społecznej, której sensu często w ogóle nie rozumieli. Dyskurs purystyczny jest sejsmografem zachodzących transformacji, zwłaszcza w okresach o dużej dynamice przemian – odnotowuje zmiany, ale nie potrafi ich zrozumieć.

Tu dochodzimy wreszcie do sedna tej części wywodu. Okres wzmożonej aktywności purystów językowych w przypadku polskim pokrywał się z okresem silnego rozwoju języka i dynamicznych przemian społecznych, które go powodowały. Główny argument przeciwników nowych słów zazwyczaj polega na wskazaniu, że są one niepotrzebne, ponieważ dotychczasowa (w domyśle: dobra i niezmieniona) polszczyzna ma swoje rodzime odpowiedniki, które albo rzeczywiście istnieją, albo wymyśla je sam autor słownika – to w tej chwili najmniej ważne. Sęk w tym, że w chwili pisania takiego dykjonarza słowa te – odrzucany neologizm i jego rzekomy odpowiednik – z reguły nie są już stuprocentowymi synonimami, bo zmieniła (skomplikowała) się rzeczywistość, do której oba się odnoszą. W 1891 roku „ekonomia” była już czymś więcej niż tylko „gospodarstwem rolnym” lub „nauką rolnictwa”, a „fabryka” nie oznaczała tego samego co „zakład rękodzielny” czy „pracownia”, jak chciałby Kortowicz⁷⁰. Słowa „weryfikacja” już na początku XX wieku używało się w nieco innym kontekście niż słowa „sprawdzenie”, a „konsternacja” nie była tym samym stanem, co „przerażenie”⁷¹. W 1917 roku „militaryzm” już dawno przestał być tożsamy z „wojskowością”⁷² (co łatwo uświadomimy sobie, gdy porównamy „pruski militaryzm” z „pruską wojskowością”), a w roku 1888 „ekspert” – ze „znawcą” czy „biegłym”⁷³. Użycie zwrotu „high-life” w polskiej prasie oznaczało odniesienie do innej rzeczywistości świata elit niż proponowane przez Błazińskiego „wielki świat” czy „arystokracja”⁷⁴. Gdy ten sam autor

⁷⁰ E.S. Kortowicz, *Oczyściciel...*, s. 80 i 90.

⁷¹ A.A. Kryński, *Jak nie należy mówić i pisać po polsku. Wydanie jubileuszowe staraniem uczniów*, Warszawa 1921, s. 202–258.

⁷² W. Niedźwiedzki, *op. cit.*, s. 119.

⁷³ J. Błaziński, *op. cit.*, s. 25.

⁷⁴ *Ibidem*, s. 38.

(dający – przyznając – wyjątkowo wdzięczny materiał do interpretacji) psioczył na słowo „inwestycja” („jeden z tych wyrazów szpecących urzędowy styl w Galicji, które potrzebują specjalnego słownika, aby się stać zrozumiałymi dla polskiego ogółu; z czego sklecony, trudno dociec [...], a znaczyć ma wkład, nakład”⁷⁵), dawał wyraz swojemu niezrozumieniu kapitalizmu: pojęcie inwestycji zawiera przecież znaczenie „wkładu” np. finansowego, ale nie da się do niego sprowadzić. Dzięki temu wiemy jednak, że język pojęć gospodarki kapitalistycznej funkcjonował już w Galicji lat osiemdziesiątych XIX wieku. Wbrew tezie samych purystów, że im bardziej rozwinięty i „dojrzały” jest język, tym mniej potrzebuje neologizmów i zapożyczeń⁷⁶, to właśnie duża dynamika przemian leksykalnych świadczy o rozwoju i bogaceniu się języka oraz o tym, że rozwija się też i zmienia używające go społeczeństwo⁷⁷.

Zawodowcy i pasjonaci, czyli „przyrodnicy” i „ogrodnicy”

Wróćmy jeszcze na chwilę do wizji polszczyzny jako języka narodowego, która wyłania się z analizowanych tutaj prac. Napisałem wyżej, że to ludzie oświecenia po raz pierwszy (?) połączyli ideę kondycji narodu z kondycją języka. Język miał być bogaty, elegancki i czysty, ale ta czystość oznaczała odrzucenie barokowych łacińskich wtrętów i wierność klasycznym poetykom. Nie stała jednak w sprzeczności z potrzebą tworzenia i przyjmowania nowych słów. Z czasem jednak „czystość” zaczęto rozumieć inaczej – jako autarkiczność. Od ostatniej ćwierci XIX stulecia przez dużą część wieku XX przekonanie, że im mniej zapożyczeń, tym lepiej, jest niemalże aksjomatem dyskusji o języku polskim. Zapożyczenia są złem i trzeba, na ile to możliwe, z nimi walczyć. „Oczywista [podkr. – MJ], że obce te naleciałości nie są pożądane w języku polskim. Chodzić więc powinno każdemu o ich pozbycie się”⁷⁸ – autorytatywnie twierdził Adam Antoni Kryński w 1921 roku.

Dodać trzeba, że wśród samych „troszczących się” o polszczyznę istniało pewne zróżnicowanie poglądów na temat skali i miejsca zapożyczeń, które

⁷⁵ *Ibidem*, s. 41.

⁷⁶ Dokładnie takie przekonanie głosił m.in. Stanisław Szober: „Im wyżej się podnosi w narodzie świadomy stosunek do języka, tym odporniejszym się on staje na wpływy obce, a im niższym jest stan kultury językowej w społeczeństwie, tym gwałtowniejsza, głębsza i szersza jest fala zalewu obcojęzycznego”. S. Szober, *Język a człowiek i naród (szkice o języku)*, Lwów [1937], s. 67.

⁷⁷ Kontekst modernizacyjny zmian języka w przypadku Kortowicza dostrzega też Artur Czesak: „[Kortowicz] chciał udowodnić, że każdy wyraz obcy da się zastąpić rodzimym lub za taki przezeń uważanym. Nie uwzględniał jednak tego, że część germanizmów wchodziła do mowy Wielkopolan i Pomorzan także ze względu na oczywiste procesy modernizacyjne, które przebiegały w życiu społecznym Prus”. A. Czesak, *op. cit.*, s. 81.

⁷⁸ A.A. Kryński, *op. cit.*, s. 4.

z grubsza da się wyjaśnić przywołanym wyżej podziałem na zawodowców i amatorów-pasjonatów. Ci pierwsi – uzbrojeni już w pojęcie „normy językowej” („przekrój poziomy rozwijającego się w czasie języka”⁷⁹) oraz „tendencji rozwojowych” – bardziej byli skłonni akceptować przynajmniej niektóre zmiany. Ci drudzy zazwyczaj wszystkie odsądzali od czci i wiary, krytykując nierzadko samych akademików za to, że „na wszystko pozwalają”⁸⁰.

Wśród językoznawców zawodowych oczywiście też istniały różnice poglądów. Najbardziej otwarte stanowisko prezentował badacz sanskrytu i kierownik Katedry Językoznawstwa Porównawczego Uniwersytetu Lwowskiego Andrzej Gawroński, który podkreślał historyczną zmienność normy językowej i dosyć przytomnie (a zarazem obrazoburczo dla radykalnych purystów) stwierdzał, że „gdybyśmy nie robili błędów [także w znaczeniu: nie używali nowych słów i nowych znaczeń – MJ], język by się nie rozwijał, to nie paradoks, tylko święta prawda”⁸¹. Aleksander Brückner w swoich *Dziejach języka polskiego*, wydanych w 1909 roku, a potem kilkakrotnie wznawianych, także deklarował, że nie byłoby postępu języka bez nowych słów. Zdroworozsądkowo zwracał też uwagę:

Nasi puryści polują gorliwie na istotne i mniemane germanizmy. Przestrzegamy przed nadużyciami. Nie zapominajmyż: zwrot polski nie staje się przez to germanizmem, że Niemcy tak samo mówią. [...] Pierwsza zasada, nie liczyć się z językiem niemieckim, nie zważać na niego; tak mówić, żeby nas dobrze zrozumiano⁸².

Bardziej zachowawcze i ostrożne stanowisko zajmował Stanisław Szober, autor bardzo wpływowego *Słownika ortoepicznego*⁸³. Jak zauważają Andrzej Markowski i Halina Statkiewicz, w swoich pracach słownikowych podzielał on poglądy Kryńskiego, że głównym kryterium poprawności języka jest jego „czystość” – „tzn. niezależność od wpływów obcych, zarówno zewnętrznych (zapożyczenia z innych języków), jak i wewnętrznych (oddziaływanie na polszczyznę wzorcową odmian «nieliterackich»”⁸⁴. Szober był też

⁷⁹ A. Gawroński, *O błędach językowych* (Biblioteczka Miłośników Języka Polskiego, nr 3), Warszawa–Kraków–Poznań–Lublin–Łódź 1921, s. 12.

⁸⁰ *Ibidem*, s. 2.

⁸¹ *Ibidem*, s. 31. Z sarkazmem komentował to wspomniany wyżej płocki purysta-amator Jan Rzewnicki: „Hulamy sobie jeszcze zamasyściej niż nasi ojcowie, pocieszając się rozgrzeszeniem owego profesora lwowskiego, który twierdzi, że gdyby błędów nie było, język by się nie rozwijał!... No i – rozwijamy go; rozwijamy w szkole, w książce, w gazecie, w teatrze, rozwijamy w życiu zrzeszeń społecznych, w wystąpieniach władz, w pracach uczonych językoznawców”. J. Rzewnicki, *op. cit.*, s. 16–17.

⁸² A. Brückner, *Dzieje języka polskiego...*, s. 158–160. Dla ścisłości muszę dodać, że w innych pracach Brückner był dużo mniej życzliwy wobec językowych zapożyczeń.

⁸³ To za jego sprawą ktoś „meł” czy „peł” zamiast „mielil czy „pielil”.

⁸⁴ A. Markowski, H. Statkiewicz, *Kultura języka w powojennej Polsce*, w: *O zagrożeniach i bogactwie polszczyzny. Forum Kultury Słowa*, red. J. Miodek, Wrocław 1995, s. 13.

konsekwentnym głosić wzmiankowanej wyżej tezy, że „język ogólnonarodowy społeczeństw na wyższym szczeblu kultury stojących, ulega znacznie mniejszym zmianom, niż języki ludów, pozostających na niższym poziomie kulturalnym”⁸⁵. Zaraz jednak dodawał: „nie znaczy to jednak, aby nie zmieniał się zupełnie”⁸⁶. Krytykował więc „bezwzględny puryzm”, wskazywał na historyczną zmienność kryteriów poprawności językowej i podkreślał, że niektóre wyrazy obce „wzbogacają [...] język, czyniąc go bardziej giętkim, podatnym do wyrażania najrozmaitszych, subtelných nieraz odcieni myśli i uczucia”⁸⁷. Filolog i tłumacz Antoni Krasnowolski, autor *Najpospolitszych błędów językowych*, na początku XX wieku był trochę bardziej konserwatywny: „gramatyka i literatura wobec języka muszą być zachowawcze: muszą wypleniać chwasty mowy potocznej i literackiej, bronić czystości języka, aby ten język nie uległ z czasem losowi łaciny”⁸⁸. Najmniej życzliwi obcym słowom byli wspomniani już wcześniej Adam Antoni Kryński i Władysław Niedźwiedzki. Ten ostatni, bardziej leksyko- graf niż językoznawca, prezentował otwarty nacjonalizm językowy, który „czystą” polszczyznę uznawał za warunek *sine qua non* polskości w stopniu większym jeszcze niż jęgo poprzednicy:

[mowa ojczysta] stanowi rdzeń narodowości, wyodrębniający nas z pośród innych ludów. Jak kraj zamieszkiwany przez nas stanowi naszą ojczyznę, tak język stanowi o naszej narodowości. On sprawi, że i poza obrębem ojczyzny nie przestaniemy być Polakami; on zamienia każdego z nas w osobną twierdzę, tak że wróg, chcąc nas wynarodowić, musi zdobywać każdego z nas oddzielnie⁸⁹.

Język jest „świętością narodową”, której całości bronić trzeba tak jak ziemi ojczystej: „Dziś, urywając coś z zakresu naszej mowy, czynimy to z zimną krwią, nie zdając sobie sprawy z tego, że to jest to samo, co uszczuplanie drugiej podstawy polskości, t.j. ojczyzny, że więc jest to postępowanie tak okropne, jakim było odrywanie Chełmszczyzny od Polski”⁹⁰ – pisał Niedźwiedzki w 1917 roku. Język – podobnie jak terytorium – jest tu traktowany jako część substancji narodu.

⁸⁵ S. Szober, *O poprawności języka*, Warszawa 1913, s. 17.

⁸⁶ *Ibidem*, s. 17.

⁸⁷ *Ibidem*, s. 26.

⁸⁸ A. Krasnowolski, *Najpospolitsze błędy językowe...*, s. 1. Na marginesie można dodać, że przez całą drugą poł. XIX w. i przynajmniej do lat 20. wieku XX co raz to powracała dyskusja o międzyzaborowych różnicach leksykalnych w polszczyźnie. Krasnowolski na przykład próbował – raczej nieskutecznie – godzić obie strony: „W Królestwie mówią: *gimnazista*, w Galicji *gimnazjalista* i toczy się spór o te dwie nazwy. Tymczasem pomija się zupełnie milczeniem trzecią formę: *gimnazjasta*, a nam się wydaje, że ta właśnie forma jest najlepsza”. A. Krasnowolski, *op. cit.*, s. 24. Jak widać z perspektywy czasu, w tym przypadku Galicja wygrała.

⁸⁹ W. Niedźwiedzki, *op. cit.*, s. 7.

⁹⁰ *Ibidem*, s. 13.

Amatorzy brak kierunkowego wykształcenia nadrabiali pasją⁹¹, połączoną często z takim samym językowym nacjonalizmem, który kazał księdzu Szeffsowi w czambuł potępić całe esperanto i domagać się usunięcia z polszczyzny „na sposób języka międzynarodowego esperanto sztucznie utworzonych wyrazów, zasługujących poniekąd na miano dziwotworów”⁹². Różnica między nimi a wykształconymi językoznawcami polegała również na odmiennej wizji tego, czym jest troska o język. Zawodowcy zazwyczaj podkreślali fakt, że ewolucja języka jest czymś naturalnym, a rola językoznawcy bliska jest pozycji przyrodnika w stosunku do przyrody: obserwować, opisywać i kiedy trzeba ingerować, choć ze świadomością ograniczonych możliwości rzeczywistego wpływu. Puryści-pasjonaci widzieli siebie raczej w roli ogrodników. „Nie przyrodnikami czyli widzami biernymi jesteśmy, ale rolnikami lub ogrodnikami, czuwającymi pilnie nad wzrostem i rozwojem drzew i roślin” – deklarował Bolesław Szeffs. A Jan Rzewnicki dodawał: „Przedziwne kwiecie rodzić może nasza gleba językowa, a jednak szkodniki hulają bezkarnie i chwasty się plenią naokół”. I oskarżycielsko zauważał: „W niszczącej tej robocie właśnie i owi «przyrodnicy» językowi niepośledni biorą udział – i dlatego do ogrodników wołam: bacność!”⁹³.

W takim myśleniu tkwiła pewna ukryta sprzeczność. Jeśli uznamy, że język narodowy jest jak wypielęgnowany ogród w rękach troskliwego ogrodnika, wtedy o krok już do konstruktywistycznego myślenia o języku. To zaś kłóci się z założeniem, że istnieje (lub istniał) jakiś idealny stan językowej równowagi i że każda zmiana (każdy nowy kwiat w ogrodzie) ją psuje. Z tym jednak puryści radzili sobie dobrze – ich wizja języka jest *de facto* konstruktywistyczna, mimo przyjmowanej retoryki. Ich oburzenie wywołuje raczej to, że język zmienia się chaotycznie, a nie według ich wskazań.

⁹¹ „By unikać zbytecznych wyrazów obcych, a posługiwać się rodzimymi w mowie i piśmie, by móc poznać szkodliwość i zbyteczność tylko niezliczonych, a prawie zawsze zbędnych w polszczyźnie wtrętów, do tego nie potrzeba szczególnego językoznawstwa ni znajomości historii polszczyzny, ale wystarczy obok szczerzej i silniej woli dobra znajomość języka własnego wraz z udoskonalonem poczuciem językowym [podkr. – MJ], co nieraz więcej ważny niż znajomość języków obcych. Do tak pożądaney pracy i troskliwości o czystość i sprawność mowy jest zatem każdy Polak, znający swój język, powołany”. B. Szeffs, *op. cit.*, s. 104–105.

⁹² *Ibidem*, s. 18. W tej kwestii nie ma rozbieżności między Szeffsem a Niedźwiedzkiem – ten ostatni był zresztą autorem przedmowy do *O czystość i sprawność mowy polskiej*.

⁹³ A. Rz[ewnicki], *op. cit.*, s. 39. Ten m.in. fragment został przywołany w przychylnym omówieniu pracy *Język i my* przez Romana Zawilińskiego na łamach „Poradnika Językowego”. Zob. R. Zawiliński, [rec.] *Język i my. Kilka uwag o tak zwanych błędach językowych*. *Skreślił J. Rz., Płock 1932, str. 40, „Poradnik Językowy”, 21/1 (I 1925), s. 14–15.*

Instytucjonalizacja i nowy front

Wysyp prac purystycznych na przełomie XIX i XX wieku, a potem na początku lat dwudziestych XX stulecia oraz pod sam jego koniec, wskazuje wzmożone okresy dyskusji o „czystości” języka polskiego. Ten drugi okres wiąże się oczywiście z powstaniem państwa polskiego, a wraz z nim – z rozwojem możliwości instytucjonalnej obrony „czystości” języka.

Podobnie jak w czasach stanisławowskich, w II Rzeczypospolitej idea tworzenia organizacyjnego wsparcia dla poprawności językowej stała się jednym z postulatów środowisk literackich i akademickich. Jeszcze przed listopadem 1918 roku Stefan Żeromski apelował o powołanie Akademii Literatury Polskiej, której jednym z celów byłaby obrona języka. Postulat ten powtórzył sześć lat później:

Pisałem to wówczas [1918], gdy samej mowie naszej groził zalew i skażenie germańskie [...]. Można było wówczas napotkać nie tylko w papierach publicznych, w gazetach, a nawet w pismach literackich takie «mikołajki», że sama istota bytu zbiorowego wołała o instytucję jakąś, która by «natrafionych» pociągała do odpowiedzialności przed trybunałem nieskażonej polszczyzny. W tej sprawie nie wystarcza doraźne skarcenie przez purystę językoznawcę, lecz konieczna jest stała i pilna praca około języka narodowego w mowie, piśmie i tworzywie, przedsięwzięta przez samych ludzi pióra⁹⁴.

Istotne jest to, że dla Żeromskiego Akademia Literatury miała być gremium reprezentującym pisarzy, samorządem o uprawnieniach normotwórczych. Tak swoją funkcję widziało także powołane w 1920 roku Towarzystwo Miłośników Języka Polskiego (założone przez Kazimierza Nitscha, Jana Łosia i Jana Michała Rozwadowskiego) oraz działające od roku 1930 konkurencyjne wobec niego i znacznie bardziej konserwatywne językowo warszawskie Towarzystwo Poprawności Języka Polskiego z Warszawy (m.in. Adam Antoni Kryński, Stanisław Szober, Witold Doroszewski) wraz wydawanymi przez te stowarzyszenia czasopismami – odpowiednio: „Językiem Polskim” oraz „Poradnikiem Językowym” (najpierw od 1901 r. jako jedno, potem od 1924 r. dwa różne wydawnictwa). Ten drugi w stałej rubryce „Zapytania i roztrząsania” (potem „Zapytania i odpowiedzi”) wyjaśniał najróżniejsze (nie tylko leksykalne) dylematy poprawnościowe czytelników. Można się było dowiedzieć, że nie wolno mówić „świniobicie” (bo to „wyraz złożony na sposób niemiecki”) tylko „ubój”, nie „hebrajski” tylko „hebrejski”⁹⁵, że „lepiej używać wyrazu polskiego *wieczera* niż obcego *kolacja*”⁹⁶ itp. Był to

⁹⁴ S. Żeromski, *O potrzebie Akademii Literatury Polskiej (niewygłoszone przemówienie na wieczorze literacko-artystycznym w dniu 22 czerwca [1924 r.]*), w: *idem, Pisma literackie i krytyczne* („Dziela” t. 4, „Pisma różne” t. 2), red. S. Pigoń, Warszawa 1963, s. 76–77.

⁹⁵ *Zapytania i roztrząsania*, „Poradnik Językowy”, 21/1 (I 1925), s. 6–9.

⁹⁶ *Zapytania i odpowiedzi*, „Poradnik Językowy”, 25/10 (XII 1930), s. 142.

więc poniekąd bezpośredni przodek radiowych kącików językowych czy też internetowej poradni językowej Wydawnictwa PWN. Czasem zresztą międzywojenni redaktorzy „Poradnika” objawiali tę samą ironiczną wrażliwość co współcześnie Mirosław Bańko czy Katarzyna Kłosińska: na pytanie „czy dobrze jest powiedziane: damy sobie rady z budżetem?” redakcja odpowiadała: „Źle. [...] Ponieważ ludzie częściej *nie dają sobie rady* [wyróżnienie w oryginale – MJ] niż ją dają, więc wcisnął się tu dopełniacz przez osłuchanie i do zdania niezaprzeczonego; w starannym języku nikt tak jednak nie mówi”⁹⁷. Stałym elementem czasopisma były również analizy wydawanych dzieł literackich pod kątem odstępstw od poprawności językowej – w ten sposób dostało się m.in. Juliuszowi Kadenowi-Bandrowskiemu, Wacławowi Sieroszewskiemu czy Antoniemu Ossendowskiemu.

Dzięki tego typu instytucjom zawodowi językoznawcy zyskiwali narzędzia do wpływania na rozwój języka, a amatorzy – ujście swoich pasji i frustracji⁹⁸. Być może z tego powodu spory o nowe słowa – tak gorące w pierwszej połowie lat dwudziestych – z czasem ostygły i sprofesjonalizowały się. Na łamach „Poradnika” prowadzono dyskusje o właściwych lub niewłaściwych słowach w poszczególnych językach branżowych, np. w słownictwie kucharskim. W latach trzydziestych znaczenie większe emocje wywoływał inny temat – nie strona leksykalna, ale projekty (a potem sama realizacja) reformy ortografii języka polskiego z 1936 roku. Powołanie Komitetu Obrony Języka, podejmowanie górnolotnych uchwał przez różne gremia (np. zjazdów teologów czy kaznodziei), listy protestacyjne, artykuły w prasie itp. – to wszystko na nowo złączyło konserwatywnych „obrońców” polszczyzny – tym razem przed dokonywanym na niej „gwałtem ortograficznym”⁹⁹.

Od czystości do kultury języka (i z powrotem?)

Wzrost zainteresowania „czystością” języka nastąpił ponownie po II wojnie światowej. Wynikało to w części z powodu wzmożonej fali nastrojów

⁹⁷ *Zapytania i odpowiedzi*, „Poradnik Językowy”, 36/4 (XII 1935), s. 97–98.

⁹⁸ Najgorliwszych oczywiście nie zadowolili. Jan Rzewnicki narzekał, że Towarzystwo Miłośników Języka Polskiego jest „w rękach apostołów swobody językowej, co to gwizdzą na skrupuły naiwnych i lękliwych poprawiaczy”, a nawet bliski jego podejściu „Poradnik Językowy” „nieco dyplomatyzuje”. J. Rzewnicki, *op. cit.*, s. 34–35.

⁹⁹ Taki tytuł nosiła broszura Stanisława Cywińskiego, wileńskiego historyka literatury i endeka, który do historii przeszedł głównie jako jeden z adresatów utworu Juliana Tuwima „Wiersz, w którym autor grzecznie, ale stanowczo uprasza liczne zastępy bliźnich, aby go w dupę pocałowali”, a także jako ofiara „afery obwarzankowej” (ciężko pobity i więziony przez pięć miesięcy za nazwanie – bez wskazywania nazwiska – Józefa Piłsudskiego kabotyńcem) i mimowolny sprawca przyjęcia *Ustawy z dnia 7 kwietnia 1938 r. o ochronie imienia Józefa Piłsudskiego, Pierwszego Marszałka Polski*. S. Cywiński, *Gwałt ortograficzny na polszczyźnie*, Wilno 1937.

antyniemieckich, których efektem – poza masowym niszczeniem materialnych śladów kultury niemieckiej na „Ziemiach Odzyskanych” czy urzędowym zmienianiem imion i nazwisk¹⁰⁰ – było wymyślanie nowych słów w miejsce uznanych za niemieckie. W ten sposób w 1950 roku za sprawą konkursu dla czytelniczek tygodnika „Kobieta i Życie” pojawiła się np. „podomka” jako polski odpowiednik niepolskiego „szlafroka”. Poza tym – podobnie jak pierwszych dekadach XIX wieku, pod koniec tego stulecia oraz bezpośrednio po powstaniu II Rzeczypospolitej – o wzroście zainteresowania poprawnością polszczyzny decydowało otwarcie struktury społecznej. Andrzej Markowski i Halina Statkiewicz zauważyli, że po 1945 roku „odbiorcy porad językowych należeli w dużej części do nowej inteligencji, grupy coraz liczniejszej w związku z nowymi możliwościami awansu społecznego”¹⁰¹.

Paradoksalnie jednak nowe warunki polityczne, masowy awans społeczny i wszystkie inne dosyć dogłębne zmiany rzeczywistości nie zmieniły w żaden istotny sposób rozumienia poprawności językowej. Wciąż była ona rozumiana jako „walka z błędami, upowszechnienie dobrych wzorców jednolitej normy polszczyzny ogólnej”¹⁰². Wynikało to także z zachowania pewnej personalnej i wydawniczej ciągłości: wspomniany już słownik Szobera – już pod nazwą *Słownik poprawnej polszczyzny* – począwszy od 1948 roku wznawiany był w Polsce kilkakrotnie dzięki Witoldowi Doroszewskiemu. Ten zaś pełnił funkcję redaktora „Poradnika Językowego” od 1932 do 1976 roku (z przerwą rzecz jasna na okres wojny), a w radiu od połowy lat trzydziestych do lat siedemdziesiątych można było słuchać jego audycji na temat poprawności języka: w latach 1935–1939 pod nazwą „Radiowa skrzynka językowa”, a po 1948 roku – „Radiowy Poradnik Językowy”. On także był autorem kolejnego, jedenastotomowego *Słownika języka polskiego*¹⁰³ (1958–1969). Dopiero od lat siedemdziesiątych w myśleniu o „czystości” języka zaczęły zachodzić pewne przemiany, związane ze zmianą pokoleniową w polskim językoznawstwie. Poprawność – do tej pory nadrzędna kategoria myślenia o języku – została stopniowo włączona w pojęcie szersze – kultury języka¹⁰⁴.

¹⁰⁰ Por.: B. Linek, „Odniemczanie” województwa śląskiego w latach 1945–1950: w świetle materiałów wojewódzkich, Opole 1997.

¹⁰¹ A. Markowski, H. Statkiewicz, *op. cit.*, s. 14.

¹⁰² *Ibidem*, s. 11.

¹⁰³ O słowniku zob.: P. Żmigrodzki, *Wprowadzenie do leksykografii polskiej* (Podręczniki i Skrypty Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, nr 16), Katowice 2003, s. 34–35 i 169–173. Zob. także: *Słownik języka polskiego*, Warszawa 1958–1969, red. W. Doroszewski, w: *Słowniki dawne i współczesne. Internetowy przewodnik edukacyjny*, red. M. Bańko, M. Majdak, M. Czeszewski, <http://www.leksykografia.uw.edu.pl/slowniki/31/slownik-jezyka-polskiego-warszawa-1958-1969> [dostęp: 18 II 2019].

¹⁰⁴ A. Markowski, *Kultura języka polskiego. Teoria. Zagadnienia leksykalne*, wyd. 2, Warszawa 2018, s. 17–20.

Nie oznacza to, że podejście do „czystości” języka pozbawione było znaczeń politycznych. Drugoobiegowe dyskusje o nowomowie¹⁰⁵ czy też – z drugiej strony – polityczny i odgórny kontekst niektórych działań dla „obrony języka”¹⁰⁶ także dotyczyły problematyki nowych słów i wyrażen w polszczyźnie. Czasem w zgoła zabawnej formie: w opowiadaniu Stanisława Wygodzkiego *Zapomniane słowa* z początku lat pięćdziesiątych bohater bardzo się trudzi, wyjaśniając swojej ośmioletniej córce znaczenie słów, które pochodzą z minionej rzeczywistości – takich jak eksmisja, lombard, lokaut, okultysta, towarzystwo akcyjne, bal dobroczynny, tombola, licytacja¹⁰⁷. Dziewczynka – wychowana w socjalistycznej rzeczywistości – nie jest w stanie pojąć, jak można kogoś wyrzucić z mieszkania, zwolnić wszystkich robotników z fabryki itp. W nowej rzeczywistości są to więc słowa zbędne.

Cezurę ważniejszą od roku 1945 stanowi rzecz jasna rok 1989, który rozpoczął okres „szybkiego rozwoju polszczyzny, zwłaszcza w zakresie słownictwa”¹⁰⁸. Językoznawcy podchodzą do niego z większym lub mniejszym zrozumieniem. Andrzej Markowski, prezentujący raczej mniej niż bardziej krytyczną postawę, stwierdza wprost, że od lat dziewięćdziesiątych „rozpoczyna się kształtowanie nowego wzorca językowego, odległego od kanonu kulturalnej polszczyzny drugiej połowy XX wieku”¹⁰⁹. Polski system fleksyjny – jak szacuje Markowski – przyjął od tego czasu przeszło tysiąc anglicyzmów¹¹⁰.

Tak znaczące i gwałtowne zmiany musiały wywołać reakcje sprzeciwu, widoczne zwłaszcza w latach w ostatniej dekadzie XX wieku. Przyglądając się im, miałem jednak wrażenie pewnego *déjà-vu*: puryści przełomu stuleci powtarzali te same obawy i wskazywali na tych samych winowajców psucia języka obcymi słowami, co ich poprzednicy z lat dwudziestych XX wieku, a nawet z końca XIX. A więc: przekonanie, że „w okresie przełomu, w jakim obecnie żyjemy” dbałość o kulturę wypowiedzi „jest szczególnie potrzebna”¹¹¹,

¹⁰⁵ M. Głowiński, *Nowomowa po polsku*, Warszawa 1991.

¹⁰⁶ „Swoistą formą troski o język polski stały się wówczas zorganizowane dwukrotnie (w grudniu 1984 i 1988 r.) Kongresy Kultury Języka. W środowisku językoznawczym i szerzej – humanistycznym – były one przyjmowane niechętnie. Odbierano je jako przejaw manipulacji politycznej władz i środek odwracania uwagi społecznej od spraw najistotniejszych. Kongresy te były popierane (inspirowane?) przez ówczesne najwyższe władze, wśród organizatorów, oprócz instytucji naukowych, znalazły się organizacje takie jak PRON, a całość była szeroko rozreklamowana w prasie, radiu, a zwłaszcza w telewizji”. A. Markowski, S. Statkiewicz, *op. cit.*, s. 21–22.

¹⁰⁷ S. Wygodzki, *Zapomniane słowa*, w: *Antologia satyry polskiej 1944–1955*, red. A. Marianowicz, Warszawa 1955, s. 642–646.

¹⁰⁸ A. Markowski, *Kultura języka polskiego...*, s. 162.

¹⁰⁹ *Ibidem*, s. 163.

¹¹⁰ *Ibidem*.

¹¹¹ K. Polański, *Uroczyste powitanie*, w: *O zagrożeniach i bogactwie polszczyzny...*, s. 8

bo stajemy wobec „zalewu cudzoziemszczyzny”¹¹²; że „polszczyzna nam się kundli”, a winni są – któżby inny – dziennikarze¹¹³ oraz np. *copywriterzy* „zaśmiecający kulawymi tekstami programy radiowe i telewizyjne”¹¹⁴. Znajomo brzmią również proroctwa, że grozi nam całkowite zniszczenie i zanik polszczyzny¹¹⁵, powtarza się moralne potępienie stosowania nowych słów. Socjolingwista Władysław Lubaś stwierdzał np., że

przyczyny przejmowania słownictwa angielskiego do polskiej komunikacji są głębsze niż zwyczajna głupota i prymitywizm kulturalny [podkr. – MJ]. Leżą one w nowych warunkach socjalnych, a mianowicie w dominacji wartości utylitarnych nad duchowymi (patriotycznymi, narodowymi), w praktycyzmie nowej, rodzącej się klasy średniej. Przypomnijmy, że anglicyzmy pełnią funkcje nominatywne tylko w niewielkim zakresie (może w dziedzinie komputeryzacji) [sic?!; podkr. – MJ]; w innych dziedzinach angielszczyzna dubluje nazwy polskie jako język prestiżowy¹¹⁶.

By język polski chronić, Walery Pisarek i Jolanta Rokoszowa przygotowali odpowiedni projekt ustawy, który – z kilkoma istotnymi zmianami – wszedł w życie w 1999 roku jako *Ustawa o języku polskim*¹¹⁷. W jego pierwotnej wersji w celu ochrony polszczyzny przed „wypieraniem przez inne języki z życia publicznego w Polsce” zakładano np., że wszystkie szyldy i nazwy w przestrzeni publicznej muszą być w języku polskim¹¹⁸. Spotkało się to z krytyczną opinią innego językoznawcy, Zygmunta Saloniego, który twierdził, że „nasz język chyba dobrze nam służy i sprawnie się rozwija. Nie jest wcale zagrożony”¹¹⁹. Poddawał też w wątpliwość sens prawnego normowania polszczyzny¹²⁰. W latach dziewięćdziesiątych w takim chórze narzekań

¹¹² *Ibidem*, s. 8.

¹¹³ Nawet Andrzej Markowski wskazuje na „język i sposób mówienia młodych, zafascynowanych wzorami zachodnimi, dziennikarzy komercyjnych stacji radiowych i telewizyjnych, którzy nieraz nie zwracają uwagi na kulturę wypowiedzi w języku ojczystym (a często nie mają fachowego przygotowania językowego)”. A. Markowski, *Kultura języka polskiego...*, s. 162–163.

¹¹⁴ A. Ibis Wróblewski, *Polszczyzna nam się kundli, czyli Kaczor Donald z hamburgerem w dziobie*, w: *O zagrożeniach i bogactwie polszczyzny...*, s. 258.

¹¹⁵ „Myślę, że zagrożenie polszczyzny jest rzeczywistym, nie zaś wymyślonym zagrożeniem. Ale jest jeszcze szansa, żeby się mu przeciwstawić – bo za 100 lat może być już za późno”. *Ibidem*, s. 260.

¹¹⁶ W. Lubaś, *Polszczyzna wobec najnowszych przemian społecznych*, w: *O zagrożeniach i bogactwie polszczyzny...*, s. 157–158. Klasa średnia dołącza więc *en bloc* do grona winnych psucia języka.

¹¹⁷ Ustawa z dnia 7 października 1999 r. o języku polskim (Dz. U. 1999, nr 90, poz. 999).

¹¹⁸ W. Pisarek, J. Rokoszowa, *Prawne ramy troski o język*, w: *O zagrożeniach i bogactwie polszczyzny...*, s. 67–70. Po dyskusji i w wyniku prac sejmowych zapis ten złagodzony – polskie napisy muszą być w urzędach oraz pojazdach komunikacji publicznej.

¹¹⁹ Z. Saloni, *Głos w sprawie prawnej ochrony języka*, w: *O zagrożeniach i bogactwie polszczyzny...*, s. 81.

¹²⁰ „Dziś można mieć wątpliwości, czy jakakolwiek instancja jest władna wydawać wiążące decyzje, co jest dopuszczalne, a co niedopuszczalne w języku polskim, który jest przecież dobrem

i wezwań do czynu słowa umiarkowania i rozsądku brzmiały jednak jak głos wołającego na puszczy.

W ówczesnym wysypie dyskusji purystycznych oraz głosów oburzenia na zalew anglicyzmów ponownie można dostrzec zapis sejsmografu gwałtownej zmiany społecznej, jaka się wtedy dokonywała. Nawet niektórzy zawodowi językoznawcy nie zauważali strukturalnych, gospodarczych i materialnych uwarunkowań zmian językowych, winą obarczając – podobnie jak ich dziewiętnastowieczni koledzy – złych lub leniwych ludzi lub warstwy społeczne z ich amoralnymi wartościami. Podobieństwo do dyskusji purystów sprzed wielu dziesięcioleci leży także w tym, że rzeczywistość polszczyzna ostatnich lat niewiele „przejęła się” głosami obrońców pragnących ustrzec ją przed „zalewem obcych słów”¹²¹.

Wnioski

Jeśli z tego pobieżnego przeglądu 250 lat polskich dyskusji o czystości języka i „słowach zbytecznych” da się wyciągnąć jakieś wnioski, to sądzę, że – podobnie jak cele tego tekstu – mieszczą się one na trzech wskazanych we wstępie poziomach. Pierwszy, dotyczący samej historii zapożyczeń językowych, jest w gruncie rzeczy dosyć banalny: lektura dawnych jeremiad o zalewie polszczyzny obcymi i niepotrzebnymi słowami uświadamia, że wyrazy dla nas całkiem naturalne jeszcze nie tak dawno przez kogoś były uważane za absolutnie zbyteczne i nieakceptowalne. Nie dotyczy to rzecz jasna wszystkich wskazywanych w nich „słów zbędnych”: wiele funkcjonujących w XVIII czy XIX wieku wyrazów (w tym wiele zapożyczeń), które przeszkadzały purystom, rzeczywiście dawno wyszło już użycia. Rzecz w tym, że owi puryści „mylili się” (patrząc z perspektywy rozwoju języka) równie często, jak mieli rację¹²². A to oznacza, że język rozwijał się i rozwija względnie niezależnie od korygujących go dążeń. Sytuacje, w których – czy to dzięki wsparciu instytucji państwowych lub społecznych, czy to za sprawą skutecznego oddolnego odwrócenia trendu językowego – interwencje „oczyszczające”

wspólnym wszystkich mówiących po polsku (chciałoby się napisać „Polaków”, ale nie mogę wyłączyć od współwłasności tych mówiących po polsku, którzy się za nich nie uważają). [...] Język żyje i zmienia się. Pojawiają się w nim wyrazy i problemy, których przedtem nie było”. *Ibidem*, s. 80.

¹²¹ Można dodać, że także językoznawcy wykazują od jakiegoś czasu dużo spokojniejsze podejście do zapożyczeń i nowych słów, główne zagrożenie widząc przede wszystkim w wulgaryzmach, skrótowości i brutalizacji – takie były główne wnioski Kongresu Języka Polskiego w Katowicach w 2011 r.

¹²² Pierwszy z brzegu poradnik językowy z XX w. i cztery po kolei następujące hasła: „należy mówić *erudyt* nie *erudyta*”, *Hindowie* nie *Hindusi*, unikać słów: *ostatnio* i *następująco*. A. Krasnowolski, *op. cit.*, s. 27–30.

odnoszą skutek, są raczej wyjątkiem niż regułą i same w sobie godne są zainteresowania badaczy.

Drugi wniosek dotyczy dynamiki nadawania samej polszczyźnie politycznego znaczenia. Teza o tym, że język ma fundamentalne znaczenie dla wspólnoty politycznej i że ta powinna dbać o jego „czystość” i „bogactwo”, pojawia się w oświeceni i jest od tego czasu aksjomatem dyskusji o języku polskim. Zmienia się jednak jej rozumienie. W drugiej połowie XVIII stulecia bogactwo oznaczało odrzucenie łacińskich wtrętów przy zachowaniu otwartości na nowe i polonizowane słowa, a czystość – wierność klasycznym kanonom literackim. Naprawa państwa zaś i naprawa języka to dwie strony tego samego medalu. Po rozbiorach, a zwłaszcza w ciągu XIX wieku, owo „bogactwo” schodzi na plan dalszy i na scenie zostaje tylko „czystość”. Jej rozumienie także się zmienia: dla klasycystycznych przeciwników poezji romantycznej to wciąż obrona poetyki języka wysokiego, podczas gdy później – dla amatorskich i zawodowych purystów – to ograniczanie ilości zapożyczeń z innych języków, a czasem wręcz ich aktywne tropienie i usuwanie. Najbardziej radykalne wizje z pierwszych dekad XX stulecia głoszą wprost autarkiczną wizję polszczyzny. Takie podejście, choć łagodzone przez grono zawodowych językoznawców, będzie wzorcowym modelem poprawności językowej aż do drugiej połowy XX wieku – im „czystszej”, tym lepiej.

Istotne jest to, że podejście do „czystości” języka coraz silniej łączy się w wieku XIX z monoetnicznym rozumieniem polskiej tożsamości narodowej. Poczucie zagrożenia ze strony rusycyzmów, a zwłaszcza germanizmów, idzie w parze z uznawaniem za „grzech” wobec własnego narodu używanie tych słów czy konstrukcji, które za takie są uważane. Wizja „czystego” języka (a więc pozbawionego „obcych” elementów) ściśle pasuje do wizji „czystego” narodu. Ten aspekt – rozumienie pracy nad językiem narodowym jako procesu oczyszczania go w imię własnej narodowej i językowej samowystarczalności – zbliża historię polszczyzny jako pojęcia społeczno-politycznego do procesu rozwoju języków sąsiednich: czeskiego i niemieckiego (a także pewnie litewskiego, ukraińskiego itp.), które również usilnie poddawano politycznej obróbce „oczyszczania” i wzbogacania w imię celów narodowych¹²³. Sądzę, że badania porównawcze (także z innymi językami) mogą przynieść jeszcze wiele ciekawych spostrzeżeń.

Wreszcie trzeci element podsumowania: z punktu widzenia historii społecznej i historii pojęć najbardziej wartościowe wnioski może dać czytanie dawnych purystów „pod włos” i na tle sytuacji społeczno-politycznej, w której

¹²³ Por. pracę o podejściu do wyrazów obcych w języku niemieckim od XVI w.: R. Lipczuk, *Walka z wyrazami obcymi w Niemczech – historia i współczesność*, Kraków 2014. W tym kontekście mieści się także klasyczna praca na temat czeskiego odrodzenia narodowego: V. Macura, *Znamięni rodu. České obrození jako kulturní typ*, Praha 1983.

pisali. Zazwyczaj są oni bowiem bystrymi obserwatorami i kronikarzami zmian społecznych, których zarazem zupełnie nie rozumieją. Przy okazji odrzucania nowych „obcośłów” mimowolnie wyjawiają podzielane przez siebie wyobrażenia o świecie, dając jednocześnie świadectwo pojawianiu się innych wyobrażeń, zjawisk czy zachowań. W dyskusji historycznej choćby nad tym, jak istniała i funkcjonowała w społeczeństwie polskim burżuazja lub inteligencja, jak przebiegały procesy narodotwórcze, jakie funkcjonowały wyobrażenia ekonomiczne czy jak zmieniała się ludzka mentalność, taka perspektywa może być bardzo pomocna.